

mrówkojad*

Kraków, Grudzień 2006, Numer 3 (Rok 1)

PRZED CZYTANIEM, ROZCIĄĆ. PRZED ROZCIĘCIEM, USIĄŚĆ!

Klub LOKATOR Magazyn

*Agnieszka Taborska, Marcin Rusek, Mariusz Szczygiel, Vesna Kranjec-Humpl, Mariusz Furkacz, Mirosław Nachacz, Saša Stanišić, Karen Underhill...



grafika: P10, 2006. Trzecie OKO, linoryt 10x15

Przed czytaniem, rozciąć. Przed rozcięciem, usiąść!





Zmierzch mimesis

Czyli jak się pisze Toporem... z niejakim oporem.

rozmawiają Agnieszka Taborska i Iga Noszczyk

Iga: Pomówmy o filozofii Rolanda. Pisze on najwyraźniej, że „prawdziwe, co się źle kończy”. Czy ów pesymizm był wyznawaną przezeń filozofią i realnym sposobem spojrzenia na życie, czy może wyłącznie jedną z wielu póż, w jakich się lubował? Wiadomo: mocno podkreślona czerni powabniejsza od spranej szarżyny! Czy pesymizm Rolanda nie był grą, pozą, oryginalnym wabikiem?

Agnieszka: Dlaczego mówi Pani o „pozach, w jakich się lubował”? Niewiele znam osób równie szczerych i równie odważnych w ciągłym odrzucaniu wszelkich póż wymaganych przez społeczne konwencje. Jeśli ma Pani na myśli jego słynny śmiech... walczył nim z przyczepianymi mu naklejkami, z głupimi zagajeniami w rodzaju: „Proszę nam powiedzieć, jak czuje się Pan jako pisarz prowokacyjny...”. Uciekał w kpinę z obawy przed zaszufladkowaniem, zrobił z warg zawór awaryjny, skąd diabelski śmiech buchał w pysk próżnej powadze i napuszonej prozaiczności. Jak powiedział jeden z jego przyjaciół: „Roland przywracał godność rozpacz. Dlaczego bardzo wysoko ceni się miłość, a cierpienie uważa za coś upodlającego? Gdyby miłości nie przyznawać miary bezwzględnej, uniknęłoby się wielu nieporozumień! A gdyby cierpienie i rozpacz uchodziły za coś normalnego – czego wyrażanie nie musi być upokarzające – ludzie częściej wychodziliby z depresji, nie czując się odcięci od innych. Bardzo lubiłem u Ro-

landa jego ‘nagość’: nie krył rozpacz i uważał ją za rzecz niezbędną do życia. Cóż za piękna lekcja: dziś niewiele osób umie – czy śmie – ją wyrazić”.

„Z codziennego języka, skażonego obsesyjnym głędzeniem, [...] nieznosną manią wyliczania [...] szczegółów [...], nagle [...] rodzi się poezja.”. Czy poezja była dla Rolanda jedynie pseudonimem całości pisania, czy może, wśród wielu innych zajęć, i poezją się parzył? Bardzo lubię przywołane przez Panią słowa i przy różnych okazjach do nich wracam. Sądzę, że „poezją” Roland nazywał zdarzenie, jakie surrealiści zwykli określać „cudownością”: zdarzenie dające poczucie zagadkowości, wyjścia ku „znakom”, jakie życie niekiedy nam przesyła, pragnienie oderwania się od codzienności, ucieczki z podległego logice codziennego życia. Wiersze oczywiście pisał, ale były one zaledwie jedną z uprawianych przezeń form. Był człowiekiem janusowym – słowo i obraz zgodnie dzieliły między sobą miejsce na jego biurku. Słownikowa definicja czym się zajmował Roland powinna brzmieć mniej więcej: „rysowaniem, malowaniem, grafiką, prozą, poezją, kolażem, manipulacją zdjęć, aerografią, okładkami książek, filmem, pisanie scenariuszy, scenografią i reżyserią, rysowaniem, promieniami, zabawami graficzno-słownymi rządzoneymi zasadą rebusów i folderów wczesnych domów handlowych, grami planszowymi, by

nie zapomnieć o plakacie, body-arcie i związkach z Fluxusem”. Proszę wybaczyć, jeśli coś pominęłam.

W Abecadle..., pod „G”, znajduje się – najnormalniej w świecie – gówno! Czy dosadność dyskursu Rolanda ma szokować, drażnić, obrzydzać, czy może chodzi o coś więcej?

Już Jarry kluczem do poznania nieznanego uczynił „grówno”. Mówiąc o nim, Jarry i Roland walczyli z rządzącymi nami obyczajowymi zakazami. Gówno było dla Rolanda immanencją życia, z zażenowaniem skrywaną przez mieszczańską moralność. „Gówno zdaje się bliskie życia, a porządek – śmierci. A że śmierci nienawidzę najbardziej, mówię o gównie” – powiedział. Z podobnych pobudek rozprawiał z rozkoszą o WSZELKICH częściach ludzkiego ciała, wychodząc ze słusznego założenia, że mówienie, powiedzmy, o nosie może być równie na miejscu, jak opowiadanie o pośladkach. Kochał bliźnich i nic, co ludzkie, nie było mu obce. Jak u Rabelais’go, Bruegla czy Boscha, jego wulgarność, czy raczej rubasność, ma drugie dno: makabryczne rysunki i opowiadania pełnią rolę pełnych humoru, filozoficznych przypowieści z przymrużeniem oka.

Roland wspomina wielokrotnie o klęsce wyobraźni, klęsce, jakiej najbardziej chyba się obawia i walczy z nią, uciekając od kreacji poddanej prawom mimesis. „Idealem byłoby kłamać cały czas” – powiada. Już na akademii nie rozumiał, jak człowiek lubiący Buñuela czy Orsona Wellesa może malować pejzaże. Do końca życia wyżej cenił sobie surrealizm humoru Buñuela i magię Orsona Wellesa nad jabłko Cezanne’a. Jak przed nim surrealiści, był do szpiku kości Paryżaninem i z codzienności Paryża wywodził niewiarygodne opowieści. Prawie Paryża nie opuszczał, a wojenne doświadczenie, gdy ukrywał się na saubaudzkiej wsi, było okropnym wspomnieniem. Rozłączony z rodzicami miejskie dziecko ekspresowo odebrało lekcję życia, odkrywając ze zgrozą krwiożerczość przyrody: kilka dni po pogrzebie odkopało kocura, podejrzano zarzynieanie świni i rozbijanie kocich łbów o ścianę domu. Dość, by nabrać do przyrody nieufności. Później doszła niechęć do przebywania w samolocie i obrzydzenie do zalewających „dziewicze zacisza” wycieczek. A co najważniejsze, komuś o jego wyobraźni porządek przyrody i mimesis nie były specjalnie konieczne.

Roman Cieślewicz powiedział, że osobiście zna kilkanaście oblicz Rolanda. Pani również miała szansę go poznać i rozmawiać z nim. Co wynikało z Waszej znajomości? Jaki był, gdy wyskakiwał ze swych ról „zawodowych”, by wskakiwać w role najzwyczajniejsze – ludzkie? Przez niemal pół wieku Roland był najbliższym przyjacielem Arrabala i Cieślewicza. Niekiedy zarzucano mu cynizm, a on naprawdę wierzył w uczucia. Dużo czasu spędzał wśród przyjaciół. Grupa Paniczna nie zrodziła by się bez silnych więzów między jej członkami. Roland umiał słuchać i opowiadać, lubił się bawić i do rana śpiewać w dobrej kompanii. Był hojny, rozdawał rysunki i zdarzało mu się je wykupywać, gdy właściciel był w finansowym dołku. Wiecznie każdemu fundował i umarł bez grosza. Podobno noc przed wylewem spędził z przyjaciółmi, opowiadając o śnie. Miał on być załącznikiem nowej książki, pomysłem na kryminał. Bycie z ludźmi było dlań czymś więcej niż przeciwjadem na życiowe lęki. Przyjaźnie były dla Rolanda być może równie ważne, jak pisanie czy malowanie.

Tekst jest skrótem i lipogramatyczną modyfikacją rozmowy „Lukrowane okrucieństwo świata wyobraźni”, jaką przeprowadziłam z Agnieszką Taborską dla czasopisma „artPapier” (www.artpapier.com; nr 4 (52) /2006)

Iga Noszczyk

Foto: Gutta/Machina Fotografika

STORYBOARD

Vesna Kranjec - Humpl*

Tekst: Nikko, Tłumaczenie: Igor Kędzierski

S - JAK SŁOWENIA

Urodziłam się jako Słowenka we włoskim mieście Triest. Nad Adriatykiem. Jako część słoweńskiej mniejszości, dlatego od samego początku musiałam bronić a także dbać o swoją tożsamość. Wzrastanie na pograniczu kultur i narodowości stawiało mnie w trudnej sytuacji, z jednej strony przynosiło ogromne korzyści z drugiej ograniczało. Ale z perspektywy czasu jestem dumna z dwoistości mojego życia, tej podwójnej tożsamości.

T - JAK TRIEST

Nie jest to duże miasto. 250 tysięcy mieszkańców. Można powiedzieć, że Triest jest troszkę większym prowincjonalnym miasteczkiem, ale bardzo bogatym pod względem kulturalnym. To miasto, przez fakt iż daje człowiekowi ogromne możliwości, paradoksalnie także ogranicza. Wszystko jest tam bardzo łatwe. To był powód dla którego zdecydowałam się je opuścić. Odkąd mieszkam w Pradze wydaje mi się, że mam szerszy horyzont oraz więcej fotograficznych doświadczeń, chociaż to w Trieście zrobiłam pierwsze zdjęcie. Co jeszcze... no tak, jest blisko do Słowenii jakieś 7, 8 kilometrów.

O - JAK OPAVA

O Opawie dowiedziałam się w Pradze. Przeprowadziłam się z Triestu do Pragi poszukując nowych doświadczeń, także fotograficznych. Zdecydowałam się zdawać na ITF i jestem teraz na trzecim roku. Olbrzymią zaletą studiowania w Opawie jest to, że są to studia zaoczne. To świetna propozycja dla osób, które interesują się fotografią, ale nie mają czasu na studia dzienne, tak jak ja. Plusem jest również to, że mamy kontakt z profesjonalnymi fotografami. Bardzo sobie cenie przede wszystkim spotkania i wymianę doświadczeń ze studentami z różnych krajów: Polski, Czech, Słowacji. Ta wymiana poglądów, wspólne oglądanie swoich zdjęć jest najważniejsza. Niedogodnością jest to, że dużo obowiązków spoczywa na samym studencie, w zasadzie większość pracy wykonuje on we własnym zakresie mając minimalny kontakt z prowadzącymi. Pięć zjazdów w roku to zdecydowanie za mało, szczególnie dla kogoś kto nie uczył się wcześniej w szkole czy w akademii plastycznej. Moje pierwotne wykształcenie jest muzyczne, więc takich doświadczeń nie posiadam.

R - JAK RADOŚĆ

Muzyka jest moim życiem i moją radością. Wzrastałam w atmosferze muzyki, ponieważ moi rodzice muzykują, kocha ją też mój mąż Martin. Ogromną radość sprawia mi również fotografowanie jako sposób na wyrażanie uczuć i emocji. Zwykle kiedy fotografuję nie koncentruję się na dążeniu do celu, którym mogłoby być piękno tylko po prostu staram się wyrazić to uczucie radości, które mogłoby zrodzić się także podczas słuchania muzyki. Zresztą ta sama zasada dotyczy tworzenia i w muzyce, i w fotografii, i w sztuce w ogóle.

Y - JAK ... NO WŁAŚNIE JAK? HM. JAK... YARIS TOYOTA

To jest świetne auto. Ale my mamy Peugota.

B - JAK BRATERSTWO

Wiem, że otaczam się właściwymi ludźmi i ta świadomość jest dla mnie źródłem ogromnego szczęścia. Cieszę się, że jestem jedną z tych osób, którym dane jest mieć świetnych przyjaciół. To właśnie STORYBOARD powstał dlatego, że chciałam dać wizualne świadectwo naszych wzajemnych relacji. Moi przyjaciele wspierają mnie a ja wspieram ich. Bez nich nie powstały by fotografie z tego cyklu. Wszystkie emocje i uczucia które odnajdziecie w tych obrazach są autentyczne. To są moi znajomi, nie mieli więc po prostu powodu, żeby udawać.

O - JAK OTWARTA PRZESŁONA

Śmiech... Przypomniała mi się historia o panu, który zapowiadał prognozę pogody w telewizji. Kończąc swój krótki występ zawsze powtarzał: ZOSTAŃCIE ZE SŁOŃCEM W DUSZY.

A - JAK AUTORYTET W FOTOGRAFII

Najważniejsze w ocenie innych fotografów jest dla mnie to czy potrafią stawiać pytania. Nie interesują mnie same odpowiedzi, ponieważ nie interesują mnie powtórzenia rzeczywistości tylko jej podważanie. Tych podziwianych przez mnie autorytetów w dziedzinie fotografii jest bardzo dużo, dlatego mam teraz problem z powiedzeniem, kto jest spośród nich najważniejszy. Ostatnimi czasy ogromne wrażenie wywarł na mnie Nobuyoshi Araki. Właśnie dlatego, że otworzył we mnie nowe pytania. Pytania dotyczące nagości, relacji między kobietą a mężczyzną i zdecydowanie

mogę powiedzieć, że jest dla mnie teraz ważnym fotografem, ale nie chciałabym mówić o nim jako o mistrzu absolutnym.

R - JAK RZECZYWISTOŚĆ

Moje codzienne życie jest przebieranką, takim trochę udawaniem. Pracuję obecnie dla dużej amerykańskiej firmy, to, co robię każdego dnia w pracy zabija moje zamiłowanie do sztuki. Po prostu siedzę za komputerem, co skutecznie osłabia moją fantazję i jest meczące. Jednak z czegoś muszę się utrzymać. Coś jeść i pić. Dlatego po pracy staram się całkowicie oddawać sztuce. Fotografia jest dla mnie w pewnym sensie ucieczką od tego, czym zajmuje się na co dzień i bardzo głęboką życiową potrzebą wyrażenia rzeczy, których pracując w tej firmie, w której pracuje wyrazić nie mogę.

D - JAK WYBÓR VESNY

Nie.... mam ogromne problemy z podejmowaniem decyzji. Podejmowanie wyborów to była zawsze jedna z moich największych bolączek. Pewnie to wynika z tego, że robię pięć różnych rzeczy na raz: pracuję w firmie, fotografuję, muzykuję, zajmuję się domem... uff. Nie daję sobie rady z podejmowaniem decyzji również dlatego, że jestem osobą niesamowicie ciekawską. Interesuje mnie absolutnie wszystko. Dobrze, że teraz studiuje w Opawie, ponieważ jestem zmuszona na coś się zdecydować... chociaż... ciągnie mnie do muzyki. No to D - JAK DO ZOBACZENIA.

***Vesna Kranjec Humpl (1974)**
Słowenka, urodziła się w Trieście we Włoszech. Obecnie żyje i pracuje w Pradze. Studentka 3 roku w Instytucie Twórczej Fotografii w Opawie. Cykl jej fotografii pt: „Storyboard” zapoczątkował spotkania z czechą fotografką (FOTOGRAFIA Z CZECH) w Miejscu Fotograficznym Machina Fotografika.

Rozmowa została przeprowadzona 23 listopada 2006 po wernisażu w Klubie Lokator.

Foto: Piotr Kalirski, Massolit, listopad 2006



Not potatoes, but... books

Karen Underhill, co-owner of Massolit bookstore, talks with Iga Noszczyk

Iga Noszczyk: To me, it seems Massolit Books has existed in Krakow forever. A few years ago, when I needed some English-language books for a thesis paper I was writing, someone told me to go to Massolit without explaining what it was, or where it was. Once I discovered the place, I was really angry with myself that I hadn't known about it earlier. So, tell me: when was the cafe-bookstore named Massolit founded? And why was it founded? Today, I can't imagine Massolit not being here! How did you come up with the idea for it? And how did you actually make it happen?

Karen Underhill: My husband David Miller and I founded Massolit in October 2001, the cafe-bookstore actually opened to the public on 22.02.2002. (Chopin's birthday, I later found out – happy coincidence!). But the idea was evolving for a long time – since 1991, when we graduated from college and Eastern Europe was opening up. Like any project, its genesis is too complicated to explain in full – but I will say that we wanted to contribute something to the new system here, to the development of a new intellectual and political environment in Poland. Our idea was to bring over academic books, materials and intellectual perspectives that were hard for people to get access to at the time: gender studies, cultural studies, Jewish culture and history, critical perspectives on American policy, media studies. I had an opportunity in the 90s to work with scholars from many countries of the former So-

viet Bloc who desperately needed these materials, and they weren't yet available in libraries in the region. We also wanted to live in Krakow, where we had studied Polish (language and literature) and become involved with the Jewish community. Another part of the motivation was that we wanted to create a kind of free space to encourage international discussion and exchange of ideas. We imagined a space for dreaming – a place that could provide a kind of temporary escape from the everyday, commercial bombardment around us, and draw people into the literature and philosophy that they find inspiring. A place they could meet with others who shared their interests. For me, the books, the music, and the past that they connect us to, are like a labyrinth always waiting to be explored – to be led down, away from the dead-end of materialistic promise that surrounds us so much of the time. Ideally, into dreaming about the kind of society that we really want to live in, and being inspired to create it. That was part of the reason I initially fell in love with Poland and Krakow, so rich with history – both Polish and Jewish – and with traditions of idealism and political activism, underground publishing, flying universities. As far as the form that Massolit finally took, and the place that it is today, this is really the child of all the people who work there – some of whom have been with us since the beginning. Massolit grew in a kind of organic way, as a shop but also as a mini international community. Everyone who works with us is a co-creator, bringing their own ideas and skills to make it run. We had

our dreams and ideas about what we wanted to do in Krakow, but we could never have imagined the amazing people that we would find here, to build it with us.

Massolit has a really great selection not only of belles lettres in English, but also critical theory and, even books for children. There's no similar bookstore anywhere in Poland! But that's not all. I know that you also organize some events not directly connected with the book market. Please, tell me something about that.

Our program of events is very eclectic, and often spontaneous. We may catch interesting guests – authors, translators, musicians or scholars – when they are passing through Krakow. Occasionally we also have musical events and art exhibits. The events might be in English or Polish, or other languages, depending on who is visiting, and who is organizing. Massolit is a very small space, actually, that fits only about 25-30 people comfortably, and is basically furnished like a living room, so it creates a kind of intimate, salon-style environment for discussions. We usually have wine or food, and encourage people to stay afterwards to discuss with one another. One of the main goals is to allow our visitors to talk directly with the invited guests and writers, in an informal setting. Many events at Massolit are actually organized by other Krakow groups who use our space – such as Instytut Książki, Koło Wschodnie UJ-u, Women in Black, PHAROS. Recently we have

planned some book promotions with Borderlands Foundation from Sejny. In general we want the bookstore to serve a kind of community function – as a place where many groups and individuals with shared interests can feel comfortable, and welcome. A close friend of ours, accordion player Scotia Gilroy from Canada, organizes a musical open-mic once a month, that is open to the public; and Thymn Chase, editor of “Lost in Krakow” hosts a similar poetry open-mic. Every morning at 10 we also broadcast an independent news program on current events, streamed from the States, called “Democracy Now”, that gives voice to individuals and issues that are usually kept out of the mainstream media – and we offer free coffee for that hour to encourage interested people to come and listen. With regard to our political bent, we are politically left in the States, and we want there to be a venue where people can be exposed to those views, and to the America we know and love: books, old jazz, talking politics or playing music with friends, learning languages – unpacking the next book shipment!!! That's a lot of what goes on at Massolit.

Of course, discussions about finances aren't the most comfortable, but I would like to talk a bit about money matters. The first time I talked with you, I was impressed by your eagerness to do things from which it's totally impossible to earn money. You're the owner of a bookstore – a businesswoman – you really shouldn't do such things! Moreover – you involve yourself and your business in some projects on which you run the risk of losing a lot. Where do you find such idealism? Why do you do this?

Did I say that? I think if I did, it was probably with a big dose of black humour. No, there's no fun in not earning money, especially when you are trying to convince yourself and others that it's worth doing something you love in life! We wish for nothing more than that Massolit could sell enough books to stay in business. Please! Tell your readers to come down and support us! The only way any used bookstore in the States, especially with a more intellectual bent, survives, is by having a circle of devoted readers and customers who really try to keep them in business, and who tell all the friends to shop there. The fact that we have been in business four years and are still not profitable is due to a lot of factors, I think. One, there just isn't a large enough critical mass of people who read English at that academic level in Krakow to support the whole operation, which – when you sum up everything – costs a lot. Second, Krakow doesn't yet have a very large foreign community, like Prague, with its tens of thousands. Third, we're in a location (Felicjanek Street) that it's hard for tourists and even locals to find. We didn't want to be in the commercial center, and that was another one of our own choices, aesthetic, ideological, that makes it hard to turn a profit. Fourth, it has taken Massolit a long time to start reaching the audience that really needs the kind of books we sell. One of our primary targets is university libraries, since we're largely an academic and scholarly bookstore. But university libraries, like all institutions I suppose, change their buying practices slowly, and it is harder than I would have thought for people who do the buying to find out that we really have books they need, at much lower prices than they would pay if they ordered from the States.

And how about now – now that Krakow already knows Massolit well: what next? Perhaps a new

store in another town? You probably know that students from Warsaw regularly come down to visit Massolit in Krakow; even in the capital there's no bookstore like yours!

That's true, and I think for financial reasons we will have to open a second store in Warsaw – something we didn't originally intend to do. But I think it will be great to have a branch there, for readers there as well as for us. David is working on that now. The problem, if course, is to find a location! Rents are high in Warsaw... But I'm getting off track. A short while ago, you asked why I am willing to get involved in projects that can't earn money. I guess I am stubborn, and I believe that it has to work out, eventually – because a lot of people want it to. We wanted very much to prove to ourselves and others that it is possible to run a company that doesn't fit a standard business model, and that is as much about creating community and encouraging progressive values as selling a product. If we had come to Krakow because we wanted to make money, we could have set up a chain of laundromats – or, as my friend Kuba used to tell us before we opened, sold something that everyone really needs – like potatoes.

Since, as one can see, you're never satisfied with what you've already achieved, and you seem to love to create something new, what do you plan next? Some new events in the old Massolit? And what are your thoughts on cooperation with Lokator? How do you imagine that?

Well, actually getting the new branch in Warsaw underway will keep us busy for a while. Besides that, we're considering looking for a small place in the center of the Old Town, here in Krakow – to make the store more accessible to tourists. We also have some ideas with regard to your new space, the new Lokator. It would be an ideal place to create a separate collection of books specializing in Design, Typography, Book Arts, and also Contemporary Art and Architecture in general. I love the art of the book, as a physical object, as I know you do. I think the idea of having a space as part of your bar where people can sit and read, and also preparing some exhibit space for that type of art books at Lokator is a great one. We would love to contribute to this project, and also help Lokator put together a small bookshop in the basement, where we could bring over titles in those areas at much reduced prices. I also think Lokator is a good setting for literary discussions, and you can fit more people than we can squeeze into the back rooms of Massolit. I hope we'll be able to plan some literary events together – soon!



Zamiast ziemniaków... książki. Z Karen Underhill, współwłaścicielką księgarni Massolit, rozmawia Iga Noszczyk.

Iga Noszczyk: Dla mnie Massolit jest w Krakowie od zawsze. Kiedy, kilka lat temu, podczas pisania jakiejś pracy potrzebowalam pewnej anglojęzycznej książki, wysłano mnie tam, nawet nie tłumacząc: co to jest i jak tam trafić. Wtedy go odkryłam i byłam na siebie wściekła, że nie wiedziałam o nim wcześniej. Powiedz mi więc: kiedy powstała księgarnia-kawiarnia? I dlaczego powstała? Teraz nie wyobrażam sobie, że Massolitu miałoby nie być! Jak wpadłaś na taki pomysł? Jak zaczęłaś go realizować?

Karen Underhill: Mój mąż, David Miller, i ja założyliśmy Massolit w październiku 2001 roku, a kawiarnio-księgarnię udostępniłmy klientom 22.02.2002. (jak się później okazało, coś za szczęśliwy zbieg okoliczności, jest to dzień urodzin Chopina). Jednak pomysł rozwijał się już wcześniej od długiego czasu, od 1991 roku, kiedy to skończyliśmy z Davidem college, i wtedy też otworzył się dostęp do wschodniej Europy. Jak w przypadku każdego projektu, tak i geneza Massolitu jest zbyt skomplikowana, by w pełni ją tu wyjaśnić; powiem tyle, że chcieliśmy jakoś się dołożyć do nowego polskiego systemu, do rozwoju nowego intelektualnego i politycznego środowiska w Polsce. Naszym pomysłem było udostępnienie naukowych książek, materiałów, punktów widzenia, do których w tamtym czasie dostęp tutaj był bardzo trudny: studiów genderowych, studiów kulturowych, kultury i historii Żydów, krytycznych spojrzeń na politykę amerykańską, medioznawstwa. W latach 90. miałam możliwość współpracować z uczonymi z wielu krajów byłego bloku sowieckiego, którzy rozpaczliwie potrzebowali takich rzeczy, a nie były one u nich dostępne. Pewną rolę odegrało także to, że chcieliśmy z Davidem mieszkać w Krakowie, gdzie studiowaliśmy literaturę i język polski, i gdzie związaliśmy się ze społecznością żydowską. Chcieliśmy również utworzyć rodzaj wolnej przestrzeni, na której mogłaby nastąpić dyskusja i wymiana pomysłów. Wyobraziliśmy sobie przestrzeń marzenia; miejsce, które dawałoby rodzaj chwilowej ucieczki od codzienności, od bombardowania komercją, i dać ludziom możliwość wpisania się w literaturę i filozofię, które ich inspirowały. Miało to być miejsce, w którym mogliby spotkać innych, którzy mają takie same zainteresowania. Dla mnie książki, muzyka i przeszłość, którą nam otwierają, są jak labirynt. Czekają na eksplorację, wypro-

wadząc nas ze ślepej uliczki materialistycznych obietnic, które nieustannie nas otaczają, w marzenie o społeczeństwie, w którym rzeczywiście chcielibyśmy żyć i które to marzenie inspiruje nas do tworzenia. Był to jeden z powodów, dla których zakochałam się w Polsce i Krakowie, tak bogatym w polską i żydowską historię, bogatym też w tradycje idealizmu i politycznego aktywizmu, wydawnictw podziemnych, latających uniwersytetów. Massolit taki, jakim w końcu się stał, jest dzieckiem nas wszystkich, wszystkich pracujących tam ludzi; niektórzy z nich są tam z nami od samego początku. Księgarnia wzrastała jak rodzaj organizmu, będąc nie tylko sklepem, ale i małą społecznością. Każdy, kto z nami pracuje, dorzucając własne pomysły i umiejętności, jest współtwórcą Massolitu. Na początku mieliśmy pewne pojęcia i marzenia, co do tego, co chcemy zrobić w Krakowie, ale nigdy nie wyobrażaliśmy sobie, że spotkamy tu tak wspaniałych ludzi, którzy będą z nami chcieli to budować.

Massolit jest księgarnią świetnie zaopatrzoną nie tylko w anglojęzyczną beletrystykę, książki teoretyczne, a nawet literaturę dla dzieci. Takiej księgarni nie ma nigdzie indziej w Polsce! Ale to nie wszystko. Organizujecie również imprezy bezpośrednio związane z rynkiem książki. Opowiedz coś o nich.

Nasz program imprez jest bardzo eklektyczny i często spontaniczny. „Przechwytyjemy” interesujących gości – pisarzy, tłumaczy, muzyków czy uczonych – gdy akurat są przejazdem w Krakowie. Czasem organizujemy także wydarzenia muzyczne lub wystawy. Imprezy te odbywają się w języku angielskim, polskim lub jeszcze innym, w zależności od tego, kto jest ich współorganizatorem i kim są goście. Massolit dysponuje bardzo niewielką przestrzenią, która wygodnie mieści zaledwie 25 do 30 osób; jest umeblowany jak living room, co stwarza rodzaj intymnej, salonowej atmosfery do dyskusji. Zwykle podajemy jakieś wino i przekąski, by zachęcić ludzi do pozostania u nas dłużej. Jednym z najważniejszych celów tych spotkań jest umożliwienie bezpośredniej rozmowy z zaproszonymi gośćmi, a taki nieformalny salonowy układ znacznie to ułatwia. Wiele imprez, jakie obecnie organizujemy w Massolicie, to inicjatywy innych grup krakowskich, którym udostępniamy naszą przestrzeń, takich jak Instytut Książki, Koło Wschodnie UJ-u, Kobiety w Czerni, PHAROS. Ostatnio planowaliśmy – wraz z Fundacją Pogranicze z Sejn – promocję książek. Generalnie chodzi nam o to, by księgarnia pełniła funkcję wspólnotową – by była traktowana jako miejsce, w którym wiele osób i grup o podobnych zainteresowaniach, może się nimi podzielić, czując się wygodnie i dobrze. Nasza bliska przyjaciółka, kanadyjska akordeonistka Scotia Gilroy, raz w miesiącu organizuje muzyczny „wolny mikrofon”, otwarty dla wszystkich, zaś Thymn Chase, wydawca magazynu „Lost in Krakow”, zaprasza z kolei na podobne imprezy poetyckie. Codziennie o 10 rano można posłuchać w Massolicie niezależnego programu informacyjnego, poświęconego obecnym wydarzeniom, nadawanego ze Stanów, zatytułowanego „Democracy Now”, który oddaje głos sprawom i ludziom zwykle trzymanym z dala od oficjalnych mediów; wtedy też serwujemy w Massolicie darmową kawę, by tym sposobem zachęcić zainteresowanych do przyjsia i posłuchania. Z uwagi na nasze polityczne przekonania, w Stanach postrzegani jesteśmy jako lewica; tutaj chcemy tworzyć miejsce, w którym ludzie mogą poznać nasze poglądy, a także spotkać się z taką Ameryką, jaką znamy i kochamy: Ameryką książek, starego jazzu, gadającą o polityce lub słuchającą muzyki z przyjaciółmi, uczącą się języków i rozpakowującą następną partię książek!!! To najważniejsze z tego, co dzieje się w Massolicie.

Oczywiście, rozmowy o finansach nie są wygodne, ale to właśnie nimi zajmijmy się przez chwilę. Kiedy rozmawiałam z Tobą po raz pierwszy, urzekło mnie to, że chętnie chcesz zajmować się rzeczami, na których zupełnie nie można zarobić. Jesteś właścicielką księgarni – businesswoman – nie powinnaś tego robić! Co więcej – angażujesz się w imprezy, gdzie istnieje duże ryzyko, że sporo się straci. Skąd w Tobie taki idealizm? Dlaczego go to robisz?

Tak powiedziałam? Jeśli rzeczywiście tak powiedziałam, to – prawdopodobnie – z dużą dozą czarnego humoru. Nie, wcale mnie nie bawi nie-zarabianie, szczególnie kiedy próbujesz przekonać siebie i innych, że to, co kochasz robić w życiu, jest rzeczywiście coś warte. Niczego nie pragniemy bardziej niż tego, by Massolit sprzedawał na tyle dużo książek, aby wciąż działać. Proszę cię! Powiedz swoim czytelnikom, by przylączyli się do nas i nas wsparli! W Stanach jedynym sposobem na to, by księgarnia z używanymi książkami przetrwała, szczególnie taka, która sprzedaje książki „intelektualne”, jest posiadanie grupy oddanych czytelników i klientów, którym faktycznie zależy na utrzymaniu jej w biznesie, i którzy wszystkim swoim znajomym doradzają zaopatrywanie się właśnie tam. Myślę, że to, iż działamy w tym biznesie od czterech lat i nadal jesteśmy niedochodowi, zależy od wielu czynników. Jeden z nich jest taki, że nie ma w Krakowie wystarczająco dużej ilości ludzi, którzy czytają po angielsku na poziomie akademickim, i którzy wsparliby koszty całej operacji, które – zsumowane – są naprawdę wysokie. Drugi czynnik jest taki, że Kraków nadal nie ma jeszcze dużej społeczności cudzoziemców, jak na przykład Praga z jej dziesiątkami tysięcy obcokrajowców. Po trzecie, mamy taką lokalizację (ul. Felicjanek), którą trudno odnaleźć nie tylko turystom, ale też miejscowym. Nie chcieliśmy znaleźć się w centrum komercyjnym i to był kolejny z naszych wyborów: estetycznych, ideologicznych, który utrudnił czerpanie dochodów. Po czwarte, sporo czasu zabrało nam dotarcie do publiczności, która faktycznie potrzebuje książek, jakie sprzedajemy. Jednym z naszych głównych celów, jako że jesteśmy głównie akademicką i naukową księgarnią, są biblioteki uniwersyteckie. Ale te biblioteki, jak zresztą – przypuszczam – wszystkie instytucje, wolno zmieniają swoje praktyki nabywania książek i uświadomienie ludziom, że rzeczywiście mamy książki, których potrzebują i to po znacznie niższych cenach niż zapłaciłby, zamawiając je sami ze Stanów, okazało się znacznie trudniejsze niż przypuszczałam.

A teraz, kiedy Kraków już zna Massolit, co dalej? Może filia księgarni w innym mieście? Wiesz przecież, że do krakowskiego Massolitu przyjeżdża po książki wielu studentów z Warszawy; nawet

w stolicy nie ma takiej księgarni, jak Twoja!

Tak, myślę, że będziemy musieli otworzyć drugą księgarnię w Warszawie; to coś, czego pierwotnie nie zamierzaliśmy robić. Ale teraz myślę, że dobrze byłoby mieć tam oddział Massolitu, dobrze byłoby zarówno dla czytelników, jak i dla nas. David nad tym teraz pracuje. Mamy nadzieję, że uda nam się otworzyć nową filię w przyszłym roku. Oczywiście, problemem jest znalezienie lokalu! W Warszawie wynajem jest bardzo drogi... Ale zboczyłam z tematu. Przed chwilą pytałaś, dlaczego chcę się angażować w projekty, na których nie można zarobić. Myślę, że jest tak dlatego, bo jestem uparta i wierzę, że to musi ostatecznie zadziałać, ponieważ wielu ludziom na tym zależy. Bardzo chcieliśmy udowodnić sobie i innym, że możliwe jest stworzenie firmy, działającej wedle innych niż tradycyjne modeli, w której chodzi także o tworzenie społeczności i propagowanie nowych wartości, a nie tylko o sprzedaż produktu. Jeśli przyjechalibyśmy do Krakowa po to, by robić pieniądze, otworzylibyśmy sieć pralni samoobsługowych lub – jak mówił nam mój przyjaciel Kuba przed otwarciem Massolitu – sprzedawalibyśmy coś, czego faktycznie potrzebują wszyscy, na przykład ziemniaki.

Ponieważ, jak widać, nie satysfakcjonuje Cię to, co już osiągnięte, i wciąż chcesz robić coś nowego, co planujesz teraz? Jakies nowe przedsięwzięcia w starym Massolicie? Jakie masz widoki na współpracę z Lokatorem? Jak to będzie?

Cóż, ten projekt, którym się obecnie zajmujemy – nowa filia w Warszawie – powinien dać nam na chwilę zajęcie. Poza tym rozważamy poszukiwanie małego lokalu w centrum Starego Miasta, tutaj w Krakowie, żeby ułatwić dostęp do księgarni turystom. Mamy też pewne pomysły związane z waszą nową przestrzenią, nowym Lokatorem. Byłoby to idealne miejsce do stworzenia osobnego zbioru książek specjalizujących się w projektowaniu, typografii, książce artystycznej, a także sztuce współczesnej i, generalnie, architekturze. Uwielbiam sztukę książki jako fizycznego przedmiotu, tak jak i wy ją kochacie. Myślę, że pomysł zaadaptowania części baru jako czytelnicy i przestrzeni wystawowej dla tego rodzaju sztuki w Lokatorze jest wspaniały. Bardzo chcielibyśmy przyłączyć się do projektu „czytelnicy”, a także pomóc Lokatorowi skompletować małą księgarnię w piwnicy, do której moglibyśmy dostarczać książki po znacznie obniżonych cenach. Myślę też, że Lokator jest dobrym miejscem na dyskusję literacką, bo możecie zmieścić znacznie więcej ludzi niż my jesteśmy w stanie upchnąć w Massolicie. Mamy nadzieję, że będziemy mogli wkrótce zaplanować wspólnie jakieś wydarzenia literackie.

Z języka angielskiego przetłumaczyła Iga Noszczyk.



Foto: Piotr Kaliński, Massolit, listopad 2006

Foto: Piotr Kalinski, Klub LOKATOR, listopad 2006



Trzecie OKO SubLokatora

Z liderem zespołu Sublokator Marcinem Ruskiem

rozmawia Stanisław Kot

Na pierwszym waszym koncercie byłem w Kolorach na Placu Nowym 6 lat temu. Słoneczny dzień, tłum ludzi i muzyka niosąca się po placu... Jak został powołany do życia Sublokator?

Jak zdecydowana większość bytów na planecie, Sublokator miał swoich przodków. Jego prawowitą babką była formacja „Frona” która zmateriałizowała się na na krakowskich Azorach w podobnym słonecznym dniu, A.D 1995, z czystej energii i wewnętrznej potrzeby. Siłę sprawczą stanowili Mateusz i Paweł, a także – co okaże się brzemienne w skutkach – Marcin i ja. Choć zespół zagrał tylko jeden koncert, udało mu się wytworzyć trwałe geny, przenoszone aż do dnia dzisiejszego, a mianowicie schemat twórczy, w którym paczka wierszy Marcina zostaje ubrana przeze mnie w formę muzyczną, co w wyniku dalszej pracy na próbach staje się utworem, piosenką, kawałkiem, niepotrzebne skreślić.

Czas jednak biegnie dalej, i dzień w którym usłyszałem amerykańską alternatywę: Toma Waitsa, PJ. Harvey oraz zespół Primus, był ostatnim dniem punkowej „Frondy”. Pojawił się Dominik na perkusji, i jako trio zrobiliśmy na jednej próbie z piętnaście nowych kawałków. Tytuł jednego z nich – „Kariera Jonasza P.” – dał nazwę nowej formacji.

Jonasz P., jako protoplasta Sublokator, poszukiwał swej drogi w różnych stylach – nowej fali, ska czy tzw. stylu krakowskim. Ostatecznie w deszczowy listopadowy dzień 1997 roku, w zadymionym wnętrzu „Burzliwego Poniedziałku” narodził się Sublokator. W wyniku poszukiwań dodatkowej przestrzeni muzycznej doszedł

do nas drugi gitarzysta Łukasz, w wyniku serii zbiegów okoliczności zdobyliśmy bezcenną trąbkę Lohanna, natomiast roszady personalne na pozycji perkusisty przeprowadziły do nas Darka, wraz z jego dynamicznym i bezkompromisowym stylem. Oto ścieżka ewolucji, która sprawiła że usłyszałeś nas w „Kolorach”.

Tego samego dnia na tym samym koncercie widziałem również inny skład niż na ostatnim koncercie Sublokatora w Lokatorze. Jak dalej przebiegały w takim razie roszady muzyczne i kto ostatecznie zasiada w składzie Sublokatora?

„Krzyżowanie gatunków” ustąpiło miejsca mniej już radykalnym „mutacjom”, wywołanym w dużym stopniu czynnikami pozamuzycznymi – by nie rzec losowymi. Rozeszły się drogi nasze i Darka oraz Łukasza, Lohann wyjeżdżał i wracał. W tych okolicznościach staraliśmy się by styl z jednej strony utrzymał się, a z drugiej – by dojrzewał. Dołączając do nas, Rafał wniósł dużo spokoju w puls rytmiczny, Tomek – bogatą przestrzeń drugiej gitary a Filip, zwany Egonem – bezcenny pierwiastek jazzowego szaleństwa.

Ostatnim akcentem był powrót Lohanna a co za tym idzie – konsolidacja idywiduanych partii solowych w spójną – na miarę możliwości – sekcję dętą. Od koncertu, o którym mówisz, siła ciężkości Sublokatorowego brzmienia przesunęła się zatem z gitar i perkusji na stronę blaszaków, wspieranych możliwie spójnym tłem rockowego instrumentarium. Myślę jednak, że to wciąż ten sam zespół który widziałeś wtedy, tylko po kilku liftingach.

Media różnie opisują waszą muzykę od rocka po jazz... Każdy z was ma też pewnie inny odbiór tego, co robicie. Jak się czujecie jako muzycy, w którą stronę idą wasze zainteresowania?

Przegląd publikowanych recenzji z naszych koncertów, rzeczywiście jest w stanie zbić z tropu, szczególnie nas samych. Słyszałem już o „Beethovenie na punkowo”, „melodyjnym rocku”, „stylu kawiarniano-kabaretowym”. Określenie „Jazz” też się kiedyś pojawiło, bodajże w odniesieniu do muzyki granej przez nas na żywo do filmu niemego. Mamy bardzo różnorodne gusta, stąd zapewne ten eklektyzm. W moim odczuciu jesteście wciąż jednak muzykami rockowymi, z gatunku, tych co to przemycają różne intrygujące formy – trans, fusion, folk. Jednocześnie mamy z tym pewien problem: niemożność samookreślenia jedną zwięzłą frazą bywa męcząca, zwłaszcza gdy próbujesz załatwić coś istotnego z tzw. działaczem kultury, który ma dla Ciebie góra 2 minuty rozmowy telefonicznej. Na szczęście ten „problem” cechuje większość tuzów undergroundu, których szanujemy. Jak bowiem określić styl Becka albo, na przykład, Pogodno? Próbujemy od czasu do czasu używać słów-kluczy: rock alternatywny, post-punk, heavy-jazz. Wszystkie jednak trochę uwierają. Płyta „Trzecie Oko” jest naszą próbą określenia Nieokreślonego.

Po dziewięciu latach działalności ukazała się wasza pierwsza płyta. Nie zmieściliście na niej zapewne całego waszego dorobku. Co można na niej znaleźć poza słynnym już „papierosem”?

Wspomniany przez ciebie „Papieros” jest naszym najstarszym utworem, podobnie jak „Pierwsza:59”. Jednocześnie sąsiadują one z piosenkami całkiem nowymi, jak „Kilometrami” czy „Wolny od Cienia”, tak więc klucz chronologiczny tu nie obowiązywał. Wybraliśmy zamiast tego kawałki składające się na w miarę spójny wachlarz stylów, którymi się posługujemy. Jest więc dynamiczne i rockowe „Miasto Paryż”, nieco orientalny „Marat Safin” czy też, osadzony w rytmie bossa novy „Sezamek”. Utwory, które są z nami przez te 9 lat podlegały też licznym, dość radykalnym niekiedy zmianom. Najbardziej spektakularną drogę przeszła „Pierwsza:59”, która z pierwotnej aranżacji grunge’owej stała się jakąś hybrydą, swing-punkiem niemal że, i teraz sprawia nam mnóstwo przyjemności granie jej na koncertach, jest też jedną z bardziej udanych piosenek na tej płycie. Aby uniknąć wrażenia niespójności, wszystkie instrumenty mają jednakowe brzmienia przez całą długość płyty, nie stosowaliśmy też typowo studyjnych sztuczek czy efektów. W porównaniu z koncertami, pojawia się nieco więcej głosów, głównie w refrenach. Całość uzupełnia bonusowy (bo zaaranżowany na nowo) „Braveheart” oraz teledysk do „Sezamka” autorstwa naszych przyjaciół Marcina i Mateusza, z którymi współpracujemy od czasu ich filmu „Pan Bruno” i którym chciałem raz jeszcze podziękować. Co do utworów, które nie zmieściły się na „Trzecim Oku”, mam nadzieję że nie będą musiały czekać kolejnych 9 lat na publikację – marzy mi się, by wydanie drugiej płyty zbiegło się w czasie z, dziesięcioleciem Sublokatora, w listopadzie przyszłego roku.

„Sezamek”

Trzecie oko Trzeci świat

Otwórz się sezamku
bóg narodzony z ciśnienia
skrzyżowane flanki
porannych policjantów
dziaśła szturmujące miasto

Otwórz się sezamku
po nocnych libacjach
potem w przydrożnym barze
wypruć flaki
zdania stawiając wysoko

Ref.: Otwórz się niedługo
Będzie ci rażniej
Znajdziemy ci nową Afrykę i nową Azję
Znajdziemy ci nową Afrykę i nową Azję

Otwórz się sezamku
klony nam zmarły wszystkie
tej wiosny
alergia niesie się nisko
poziom pecha w ustach wzrasta

Otwórz się sezamku
przemawia przez nas głos
który porusza naszą ręką
chwycimy ten akord
grając ze wstrętem

Trzecie oko trzeci świat

Marcin Pawlik

W Krakowie macie już rozpoznawalne brzmienie. Kilka stałych miejsc gdzie gracie. Stałe grono odbiorców. Jak jest z waszymi koncertami poza granicą miasta?
Dotychczas brakowało mocnego impulsu, który pozwoliłby przyciągnąć publiczność na nasz koncert poza Krakowem, dlatego też odbywały się one dosyć incy-

dentalnie i z reguły byliśmy częścią jakiegoś większego wydarzenia – festiwalu, koncertu charytatywnego. Chcielibyśmy, by „Trzecie Oko” było na tyle mocnym czynnikiem motywującym, że to w końcu zmienić. Również po to by nie stracić świeżości brzmienia, o którym mówisz, grając ileś razy w miesiącu w Krakowie. Graliśmy ostatnio w Kielcach, wybieramy się do Mysłowic – coś drgnęło. Nie ma też co ukrywać, że jak do tej pory, nie utrzymujemy się z grania i to daje pewną niezależność – nie musimy grać wszędzie, tylko tam, gdzie chcemy i gdzie nas chcą.

No i dochodzimy do sedna sprawy. Utrzymać niezależność i „grać tam, gdzie chcemy i nas chcą” czy może jednak wielka machina muzyczna, profesjonalny wydawca, trasy koncertowe, media, pieniądze?

Stasiuk gdzieś napisał, że według niego wszystko co sensowne w sztuce balansuje na krawędzi – i coś w tym jest. Bo można być niezależnym i tłuc się cegłówką po parapecie dla czystej frajdy kilku osób i można też konsumować sukces występując w reklamie psiej karmy – skrajności generalnie są be. Niepisany plan jest taki, by niezależność twórcza szła w parze z coraz większym profesjonalizmem organizacyjnym, a więc: wydawca, trasa, media – tak, natomiast nie sądzę by wielka machina muzyczna chciała się po nas przejechać w przewidywalnym czasie. Śledząc losy innych polskich zespołów alternatywnych śmiem twierdzić, że nadmiar pieniędzy też nam nie grozi.

Płyta już jest, pierwsze koncerty promocyjne z wami. Co możecie jeszcze zrobić, by wyjść z „krakowskiego podziemia”? Wiem że próbowaliście swoich sił w konkursie „Gazety Wyborczej” i Radia Kraków. Jak to się skończyło?

Mogło lepiej, bo zajęliśmy „zaszczytne drugie miejsce”. To był dla nas sygnał, że nasze dotychczasowe nagrania nie mają już wystarczająco dużo świeżości i przede wszystkim jest ich za mało. Zapadła decyzja o dłuższej sesji nagraniowej i byliśmy z niej na tyle zadowoleni, że po namowach chłopaków z Psychosound płyta stała się ciałem. „Trzecie Oko” jest projektem, którego promocji podjęliśmy się samodzielnie, nie czekając na zaangażowanie tej mitycznej „wielkiej maszyny muzycznej”, o której wspominałeś wcześniej. Dalsze perspektywy wiążemy z tymi mediami, które są otwarte na świeże projekty, m.in. ze wspomnianym przez Ciebie Radiem Kraków, „Wyborczą”, a przede wszystkim z portalami internetowymi. Mamy dobre doświadczenia z Interią, gdzie zadebiutowały nasze wideoklipy i z Independent patronem medialnym płyty. Trzeba jednocześnie trzymać formę od strony artystycznej i spróbować zaatakować co bardziej renomowane festiwale, jak Woodstock, Węgorzewo czy OFF Festival.

Płyta „Trzecie OKO” została nagrana w składzie:
[perkusia] Rafał Kawa
[saksofon] Filip Jarmakowski
[gitara] Tomek Kosoń
[bas, teksty] Marcin Pawlik
[trąbka] Lohann Ratajczyk
[gitara, śpiew, muzyka] Marcin Rusek

[muzyka] Marcin Rusek, Sublokator
[słowa] Marcin Pawlik

info: www.sublokator.com



Szanowni Państwo!

Mamy przyjemność zaprosić Państwa na otwarcie nowej sceny teatralnej, w Krakowie przy ulicy Gazowej 21, 15 grudnia 2006 roku o godzinie 17.00.

Założeniem przyświecającym nam przy powoływaniu do życia Teatru Nowego, była chęć stworzenia w Krakowie przestrzeni artystycznej, w której doświadczenia mogliby wymieniać studenci i absolwenci szkół teatralnych ze swoimi bardziej doświadczonymi kolegami. W związku z tym, w pierwszym półroczu naszej działalności planujemy premierę przedstawienia „Pan Jasek” Martina McDonagha w reżyserii Bohdana Hussakowskiego oraz premierę przedstawienia dyplomowego studenta reżyserii krakowskiej PWST Iwo Vedrala „Kobieta sprzed dwudziestu czterech lat” Rolanda Schimmelpfenninga, która będzie częścią organizowanego przez nas festiwalu „Europa – sztuka bez granic”.

Interesują nas najbardziej palące problemy bliskiej nam rzeczywistości, w związku z czym zamierzamy sięgać po teksty ukazujące współczesność widzianą z różnych perspektyw kulturowych. Stąd w planach naszych znajduje się premiera przedstawienia opartego o teksty Pier Paolo Pasoliniego, które przygotuje włoska reżyser Lina Bracaglia, czy prapremierę polską tłumaczonego właśnie dla nas współczesnego dramatu czeskiego i w oparciu o współpracę z młodymi środowiskami teatralnymi Brna.

Chcemy, aby nowopowstała scena teatralna przy ulicy Gazowej 21 była również otwarta dla innych dziedzin sztuki. Stąd w naszych planach wernisaże (najbliższy, Łukasza Błazejewskiego, zostanie przygotowany na otwarcie naszej sceny) i w dalszej perspektywie przegląd performansów Katarzyny Kozyry oraz spotkanie z artystką.

Zachęcamy Państwa do śledzenia działań Teatru Nowego.



Przed czytaniem, rozciąć. Przed rozcięciem, usiąść!



O literaturze, Bośni i piłce nożnej Z Sašą Stanišićem

rozmawia Dominika Kaniecka

Saša Stanišić (ur. w 1978 r. w miasteczku Višegrad, dzisiejsza Bośnia i Hercegowina) – młody pisarz, germanista i slawista. W tym roku debiutował powieścią „Wie der Soldat das Grammophon repariert”. Mieszka w Niemczech. Píše po niemiecku, ale wcale nie łatwo przypisać mu miano niemieckiego pisarza. Wymyka się tego typu klasyfikacji, bo – choć w Niemczech czuje się jak w domu – jego ojczyzną jest Bośnia. Przykre doświadczenia wojenne nie pozwoliły mu w ojczyźnie pozostać, zdobyte w innym świecie doświadczenie życiowe, nie pozwala do niej powrócić. O własnym poczuciu tożsamości narodowej rozmawia niezbyt chętnie. W Bośni pytanie o to, kim jest syn Serba i muzułmanki przywołać może szereg nieprzyjemnych wspomnień, poza nią – może pozostać bez odpowiedzi.

Z autorem rozmawiamy w pracowni, w piwnicach klubu Lokator, tuż po oficjalnym, przeprowadzonym w języku niemieckim, spotkaniu. Mrówkojadowym zwyczajem – w ojczystym, czy jak mówią w krajach byłej Jugosławii, „macierzystym” języku autora rozmawiamy o literaturze, Bośni i piłce nożnej. Oto fragment tej rozmowy:

Dominika Kaniecka: Czy twoje pisanie jest tylko wewnętrzną potrzebą opowiedzenia swojej własnej historii, czy może – ze względu na fakt, iż mieszkasz w obcym świecie – wyraża także potrzebę przybliżenia aktualnemu środowisku twojego dawnego świata?

Saša Stanišić: Jest jednym i drugim. Po pierwsze, myślę, że autor nie odczuwa potrzeby opowiedzenia jakiejś historii, w ogóle nie ma po co pisać. Przede wszystkim moją osobistą potrzebą było opowiedzenie o pewnych sprawach, które latami ciągnęły się za mną niewypowiedzane na głos, które mnie męczyły. Opowiadałem jedynie o swojej rodzinie o wąskim kręgu małych ludzi, którzy znaleźli się w tej samej sytuacji, bo doświadczyli tego samego. Kolejny krok nastąpił kiedy zrozumiałem, że to nie wystarczy – nie wystarczy, żebym opowiedział tylko swoją historię. Zacząłem więc swoim wspomnieniom nadawać bardziej globalną strukturę, uzupełniać o pewne funkcjonalne elementy, rozszerzać. Zacząłem stawiać innym pytanie: „Czego wy doświadczyliście?” – i tak ich historie weszły do powieści. Bardzo szybko wycofałem się z intymnej sfery. Kolejnym zadaniem było dla mnie opowiedzenie historii naszego małego wszechświata: historię o mieście Višegrad i własnym doświadczeniu tak, by ktoś, kto nie doświadczył wojny mógł pewne sprawy zrozumieć. Nie myślę tu o jakichś globalnych kwestiach, o przyczynach wojny. Chodzi o to, by ludzie poprzez opisane w książce wydarzenia zrozumieli pewne szczegóły, pojęli o co w tym wszystkim chodziło. By pojęli kwestie związane z tym na przykład: jak czuje się dziecko w momencie, kiedy ktoś demoluje mu cały świat, jak rodzą się i jak funkcjonują opowieści w chwilach

agresji, dlaczego śmiejemy się, dlaczego szukamy bańców, kiedy na zewnątrz toczy się walka o miasto? Chciałem na swoim przykładzie opowiedzieć historię, która będzie dużo bardziej uniwersalna. I najważniejszą sprawą było dla mnie poprzez globalne podejście opowiedzieć o pewnych sprawach.

Wiem, że pojawiło się dość dużo recenzji, reakcji na twoją książkę. Czy na podstawie reakcji niemieckich czytelników możesz stwierdzić, że udało ci się do nich dotrzeć, że pojęli twoje zamiary i że twój obraz własnego świata jest zrozumiały dla Europy Zachodniej?

Nie mogę niczego stwierdzić na zapas, dotychczasowe recenzje są zróżnicowane. Wszyscy podkreślają inne aspekty. Każda recenzja jest inna. Dla mnie najważniejsze są te, które zwracają uwagę na fakt, iż nie chodzi tu o powieść biograficzną, że chodzi o próbę zrozumienia pewnych rzeczy, mówienia o nich. Pojawiła się jedna świetna recenzja, w której podjęto próbę politycznej kontekstualizacji tej historii z wydarzeniami, które miały miejsce przed wojną i z ludobójstwem w Višegradzie po wojnie, o którym też mowa w mojej książce. Te recenzje są dla mnie najważniejsze. Właśnie te, mierzące się z aktualnymi sprawami, o których niewiele wiadomo, bo koniec wojny przyniósł nagły brak zainteresowania wojną. Nikt więcej nie pisał. Zupełnie niezauważone pozostały szczególnie te małe miejscowości jak Višegrad. Te recenzje są dla mnie najistotniejsze, bo próbują zaakcentowane przeze mnie wydarzenia przenieść do globalnej świadomości politycznej.

Traktujesz swoją książkę jako część literatury niemieckiej, czy może poszukujesz kontaktu z literaturami południowosłowiańskimi? Czy twoja książka, bez względu na język, wpisuje się jakoś w literaturę bośniacką?

Nie mnie o tym decydować. Gdybym nie czytał literatury bośniackiej, gdybym nie czytał naszej literatury eks-jugosłowiańskiej, nigdy nie napisałbym, nie mógłbym napisać tej książki. Jest w niej tak dużo odwołań do Andrića, Jergovicia, do naszych autorów z różnych krajów, że po prostu niemożliwe byłoby napisanie tej książki bez tak istotnego konglomeratu.

A tego kontaktu szukam. Teraz właśnie poszukuję wydawcy, który przełoży i wyda moją książkę w obojętnie którym z naszych języków [mieszkańcy krajów byłej Jugosławii, szczególnie emigranci, często posługują się uniwersalnym określeniem „naś jezik” obejmującym dziś: chorwacki, bośniacki, serbski i czarnogórski – przypis D. K.].

Chciałabym nawiązać do czegoś o czym sam wspominałeś, do problemu wpłynięcia w twojej książce. Enver Kazaz [znany bośniacki badacz literatury południowosłowiańskich – przyp. D. K.] powiedział kiedyś, że wojna wisi nad literaturą bośniacką jak fatum, że zachodni świat nie chce przy-

jąć innych bośniackich opowieści, za to z łatwością przyjmuje te wojenne. Jak ze swojej perspektywy oceniasz szanse literatury bośniackiej zważywszy na mur niewiedzy Zachodu o Bośni, o byłej Jugosławii? Jak oceniasz szanse przebicia się ponad problem wojny innych bośniackich tematów?

Szanse są, ale literatura musi umieć wykorzystać na przykład dwujęzycznych autorów, takich jak ja, do tego, by prezentowali dobre teksty, które powstają na południu, a takich tekstów nie brakuje. Wydawnictwa w Niemczech znają niewiele sposobów na zauważenie naszej literatury, która, owszem, jest mała, ale według mnie bardzo dobra. I nie myślę tu tylko o literaturze bośniackiej, ale też chorwackiej i serbskiej. Potrzeba nam więcej ludzi, którzy istnieją ponad granicami, żeby oni właśnie znajdowali teksty. Jeśli ci ludzie coś znajdą, powinni reagować, oni powinni zrobić pierwszy krok, by dobre książki dotarły do rąk agentów. Moim zdaniem nie do końca jest tak, że tylko literatura wojenna cieszy się uznaniem na Zachodzie. Na przykład Jergović nie pisał wyłącznie o wojnie, a prawie wszystkie jego książki przetłumaczone są na niemiecki. Mamy też Ferića, który napisał niesłychanie dobre opowiadania, nie mające nic wspólnego z wojną, może jedynie w jakimś symbolicznym wymiarze, i one także są przełożone.

Istnieje wiele możliwości myślę jednak, że pierwszego kroku nie zrobią niemieckie wydawnictwa, bo dla nich ważniejsze są inne literatury. To my – pisarze, ale i wydawcy z Bośni, powinniśmy zrobić ten krok. Ale i tu są problemy. Ja na przykład już trzy miesiące szukam tłumacza dla swojej książki, by ją wydać na południu. I nie mogę znaleźć. Jest to dla mnie zupełnie niejasne.

Może chodzi o twoją postawę? Powiedziałeś: chętnie przyjeżdżam na krótko, ale niemożliwy jest prawdziwy powrót, nie mogę mieszkać w Bośni.

Być może, ale to nie powinno mieć związku z moją prywatną sytuacją. Ja po prostu nie mogę żyć na południu. Jeśli to jest powodem, dla którego nie tłumaczy się książek... Zrozumiałbym, gdyby powodem był fakt, że książka jest zła. Ja po prostu nie dostaję żadnych odpowiedzi. Większe zainteresowanie jest ze strony Serbii czy Chorwacji niż z Bośni. Ale to jest zupełnie inna kwestia.

Musimy wspólnymi siłami postarać się wprowadzać naszych autorów na niemiecką scenę, szczególnie tych młodych. Ja sam staram się w tym pomagać: wyszukuję, tłumaczę, prezentuję wydawcom.

Interesuje mnie jeszcze jedna kwestia. Czy faktycznie poszukiwałeś związku pomiędzy piłką nożną i literaturą? Co wspólnego ma piłka nożna z literaturą?

O tym mógłbym długo opowiadać. Szukałem i wciąż szukam. Przygotowuję pracę magisterską. Spróbuję odpowiedzieć krótko. W moich poszukiwaniach ważna jest społeczna struktura grup kibiców w literaturze powszechnej od początku XX wieku. Interesuje mnie każda książka, w której piłka nożna pojawia się jako temat. Ciekawi mnie jak postrzegani są kibice, z jakich środowisk pochodzą, jakie piosenki im towarzyszą, o czym mówią. Jak to widzą Anglicy, Hiszpanie, Niemcy. To mnie bardzo interesuje. Materiałów jest niewiarygodnie dużo. Szczególnie teraz, przed mistrzostwami, powstało bardzo dużo książek. W tym momencie czytam autora, który nazywa się Ror Wolf, on dużo pisał o piłce. Pisał o tym, jak to jest oddać się tak głębokiemu uczuciu do komercyjnego teamu.

Książka Sašy Stanišića, „Wie der Soldat das Grammophon repariert” ukaże się w polskiej wersji językowej prawdopodobnie nakładem Wydawnictwa Czarne.

foto: Piotr Kaliński, Klub Lokator 28.10.2006



Je li tvoje pisanje samo unutarnja potreba za priëanjem svoje vlastite priëe ili možda – s obzirom na to da živiš u dosta stranom svijetu - potreba da svojoj aktualnoj okolini objasniš svoj stari svijet?

I jedno i drugo. Prvo, ja mislim da ako autor nema potrebu ispriëati neku priëu zašto bi je onda pisao. Na prvom mjestu moja je sopstvena potreba bila da izgovorim neke stvari koje sam godinama vukao sa sobom sasvim neizgovorene i koje su me muëile. Ja sam samo priëao o svojoj familiji i o nekom krugu malih ljudi koji su se našli u istoj situaciji jer su doživjeli iste stvari. I drugi korak je bio – ja sam u nekom trenutku shvatio da to više nije bilo dovoljno – nije bilo dovoljno da samo svoju priëu ispriëam, tako da sam poëeo svojim sjećanjima davati globalniju strukturu, da im funkcionalne stvari dodajem, da sve proširim i da idem da pitam ljude „šta ste vi doživjeli” – i njihove su priëe došle u roman. Napustio sam vrlo brzo tu intimnu sferu. Onda mi je bio zadatak ispriëati priëu našeg, mog malog univerzuma : priëu o Višegradu i svoj doživljaj tako da netko tko nije taj rat doživio može da neke stvari shvati. Ne mislim na globalne stvari, na razloge za taj rat. Nego da ljudi preko događaja koji su u knjizi opisani shvate u detalju o èemu se tu radilo. I da shvate neka pitanja poput: kako se osjeća dijete u trenucima kad mu netko cijeli svijet demolira, kako nastaju, kako funkcioniraju priëe u agresivnim trenucima, zašto se smijemo, zašto tražimo banalne stvari kad se napolju udara u grad? I da ispriëam sa svojim primjerom priëu koja će biti puno univerzalnija. I to je po meni bila najvažnija stvar, da globalno istupim iz knjige i da neke stvari ispriëam.

Znam da se pojavilo dosta recenzija, dosta reakcija na tvoju knjigu. Jesi li po tome kako njemaëka publika reagira na tvoju knjigu zaključio da si nekako uspio doći do njih, da su shvatili tvoju namjeru, da je tvoja slika vlastitoga svijeta razumljiva za zapadnu Europu?

Ja to ne mogu paušalno reći, jer su te recenzije jako različite. Svi naglašavaju druge aspekte, nijedna nije ista. Najvažnije su mi te koje primijete da se ovdje ne radi o biografskom romanu, da se samo radi o pokušaju da se neke stvari shvati, da se o njima priëa. Bila je jedna izvanredna recenzija u kojoj su na političkoj razini

pokušali da kontekstuju to priëu sa događajima koji su se prije rata dešavali i sa genocidom u Višegradu poslije rata o kojem moja knjiga isto priëa. Te su mi najvažnije. Te koje uzimaju aktualne stvari o kojima se ne zna puno. Jer ovaj rat je bio onda kosom neinteresantan kad se završio, nitko više nije pisao, pogotovo te male sredine kao što je Višegrad, ostale su sasvim nezapažene. Te su mi recenzije najvažnije jer pokušavaju neka moja isticanja događanja da ih prebace u globalnu političku svijest.

Shvaćaš li svoju knjigu kao dio njemaëke književnosti ili možda tražiš kontakt s južnoslavenskim književnostima, odnosno, da li se tvoja knjiga bez obzira na jezik upisuje u bosansku književnost?

O tome ne odlučujem sam. Da nisam èitao bosansku književnost, da nisam èitao našu eksjugoslavensku književnost ja nikada ne bih mogao i ne bih smio napisati ovu knjigu. U njoj ima toliko puno referencija na druge autore, na Andrića, na Jergovića, na naše autore sa svih prostora, da jednostavno, meni bi bilo nemoguće bez tog konglomerata uopšte napisati tu knjigu. Ja taj kontakt tražim. I sad tražim izdavačku kuću koja će moju knjigu prevesti i izdati na bilo koji od naših jezika.

Htjela sam se nadovezati na ovo što si malo prije spomenuo, na pitanje rata u tvojoj knjizi. Rekao je jednom Enver Kazaz da rat visi nad bosanskom književnošću kao fatum, da zapadni svijet nekako ne želi prihvatiti drugu bosansku priëu. Brzo i lako prima ratnu književnost. Kako sa svoje perspektive ocjenjuješ šanse bosanske književnosti da se probije kroz to neznanje zapada o Bosni, o bivšoj Jugoslaviji, da se probije i sa drugim temama?

Ima šanse, ali mora znati iskoristi, na primjer, takve dvojezične pisce kao što sam ja, da pokušaju da im predlože, prezentiraju dobre stvari koje dolje nastaju, a ima dobrih stvari koje dolje nastaju. Izdavaëke kuće u Njemačkoj imaju mali broj naëina na koji bi mogli zapaziti našu književnost, koja jeste jako mala, ali po meni jako dobra. I ne samo naša bosanska, i hrvatska, i srpska. Treba nam više ljudi koji su tako među granicama da oni dovedu te stvari, i ako ti ljudi nešto zapaze, na njima je da reagiraju, da naprave korake da te knjige koje su kvalitetne daju u ruke agentima Jer ja mislim

da nije baš tako da bi samo ta literatura o ratu ovdje bila uspješna. Recimo, Jergović nije pisao samo o ratu, njegove su skoro sve knjige prevedene na njemaëki, onda imamo isto tako Ferića koji ima nevjerovatno lijepe kratke priëe koje uopšte nemaju veze s ratom, možda jedino u nekom simboliënom odjeku i one su prevedene. Ima puno mogućnosti, samo ja mislim da prvi korak neće napraviti izdavaëke kuće u Njemačkoj jer su njima važnije druge književnosti. Mi pisci, izdavaëi iz Bosne, moramo napraviti prve korake. Ali ima i tu problema. Ja već tri mjeseca tražim prevodioca za svoju knjigu da se nju izda dolje. I ne mogu ga naći. To mi je potpuno nejasno.

Možda je u pitanju tvoj stav. Rekao si: rado se vraćam na kratko, ali pravi povratak nije moguć, ne mogu živjeti u Bosni.

Moguće, ali to ne bi trebalo imati veze s mojom privatnom situacijom. Ja jednostavno ne mogu živjeti dolje. Ako je to razlog da se neka knjiga ne prevodi ... Razumijem kad je kvaliteta knjige razlog ... Jednostavno, ne dobivam odgovore od nikoga, Više iz Srbije i Hrvatske nego iz Bosne. Ali to je drugo pitanje.

Moramo se zajedno potruditi da dovedemo autore na njemaëki prostor, pogotovo mlade. Ja sam trudim se pomoći u tome, tražim, prevodim odlomke, predlažem izdavaëima.

Zanima me još jedna stvar. Jesi li stvarno tražio vezu između nogometa i književnosti? Kakve veze ima nogomet s književnošću?

O tome bih mogao jako dugo govoriti. Pripremam magisterij. Probat ću ukratko. U mojim istraživanjima važna je socijalna struktura fanova u svjetskoj književnosti od poëetka dvadesetog stojeća. Meni je zanimljiva svaka knjiga u kojoj fudbal dolazi kao tema. Zanima me kako se promatraju fen strukture, kakve su njegove pjesme, o èemu govore, odakle dolaze. I kako tu grupu gledaju Englezi, Španjolci, Nijemci. To me strašno zanima. Materijala ima nevjerovatno puno. Pogotovo sad nedavno, prije svjetskog prvenstva, je nastalo jako puno knjiga. Trenutno, recimo, èitam autora koji se zove Ror Wolf, on je pisao mnogo o fudbalu. Pisao je jako puno o tome kako je biti zadubljen u ljubav prema nekom komercionalnom teamu.



Foto: Gutta / Machina Fotografika

Robert Robur nie ma zegarka

Rozmowę z Mirosławem Nahaczem

prowadził Igor Stokfiszewski.

Mirosław Nahacz: ...nie mam najmniejszego pojęcia, co czytać dalej. Myślę, że zrobię lepiej, jeśli nie będę czytał, bo to bez sensu czytać jakiś wyrwany fragment z końca. Myślę, że lepiej będzie, jeśli przez chwilę opowiem trochę o fabule i o tym, o co chciałbym, żeby chodziło mi w tej książce. Otóż pewnego dnia, mój bohater tytułowy, Robert Robur, po kilku dniach potwornej imprezy, budzi się na skutek telefonu komórkowego. Dostaje propozycję pracy od legendarnego producenta. Znajdujemy się w mieście pełnym światła. Miasto pełne światła jest miejscem, w którym o godzinie 3.33 ludzie znikają z ulic i wszyscy niczym jedna osoba zaczynają oglądać pewien serial, serial ma tytuł „Wściekłość i wrzask”. Na samym początku fabuły nikt jeszcze nie podejrzewał, że serial ma... pewien ukryty cel i działa on na ludzi jak narkotyk... Oj, wydaje mi się, że nie będę jednak w stanie tego opowiedzieć.

Igor Stokfiszewski: To opowiedz może jak się kończy? Okazuje się... no, ale nie mogę też tego powiedzieć, bo zepsułbym ludziom radość czytania. No, ale okazuje się, że w życiu mojego bohatera większość rzeczy, o których myślał, że są prawdą, jest wywołane przez obcą siłę. Każdy z moich bohaterów ma potworne problemy z tożsamością. Nie ma ani jednej osoby, która na pytanie „kim jestem?” – moi bohaterowie wszyscy je non stop sobie wciąż zadają, to może wydawać się banalne, ale to w końcu jest jedno z ważniejszych pytań – potrafi sobie odpowiedzieć i żaden z moich bohaterów do końca nie wie kim jest, a mój główny bohater nie wie już zupełnie, zupełnie. I ciągle zastanawia się, czy to, co myśli, jest rzeczywiście prawdziwe, czy nie zdarzyło się na przykład tak, że ktoś inny, jakaś inna obca siła, nie wzbudziła w nim tych myśli. No końcu wszystko się łączy i coś się okazuje, ale nie mogę zdradzić, co?

Wspominałeś, że ta świadomość nieumiejętności znalezienia się – że tak powiem – w naturze, po całej takiej infiltracji nowego świata, które opiera się na iluminacji, jakichś takich, wiesz – obrazów medialnych...

Wiesz, jest takie pojęcie informatyczne, które nazywa się przepełnienie bufora. Przepełnienie bufora polega na tym, że do pewnego obszaru pamięci zostaje przypisanych zbyt wiele informacji i w związku z tym wszystkie informacje zostają zniszczone. Jednym z podstawowych założeń rzeczywistości, która opisana jest w tej książce jest to, że z samą rzeczywistością dzieje się to samo, co właśnie z programem, w którym następuje przepełnienie bufora. Myślę, że powiem, że ta rzeczywistość nie jest w stanie pomieścić tylu sensów, jakie są w nią wpromieniowane. Chodzi o to, że ludzie, którzy żyją w mieście, otoczeni non stop tysiącami słów, które są po prostu rzucane w powietrze, są jakby wpromieniowane przez gazety, przez non stop działające telewizory, przez całe to medialne szaleństwo, a to powoduje, że ludzie zaczynają być zatraceni. Wiesz, okazuje się, że fale telewizyjne zaczynają reifikować się w powietrzu nad miastem, nad miastem wiszą olbrzymie czołówki telewizyjnych programów. Nikt na to nie zwraca uwagi, bo wszyscy non stop są zapatrzeni w telewizory i, kiedy nie oglądają muszą załatwiać mnóstwo wiele innych spraw i nikt o niczym nie myśli. I w momencie, w którym moi bohaterowie spędzają w tej rzeczywistości dwie pierwsze części, w trzeciej okazuje się, że muszą wyjechać poza jej obręb. Trafiają w naturę, wyjeżdżają z miasta. I nagle okazuje się, że to, czego tam doświadczają jest całkowicie wyrwane z kontekstu, nie ma kontekstu. Są w ogóle zaskoczeni, że stojąc w pustym miejscu, nie otoczeni żadnym ludzkim wytworem, mogą coś odbierać i myśleć o tym, co odbierają i po raz pierwszy czują, że myśli, które legnęły się w ich głowach, nie są wytworem

jakiegokolwiek manipulacji. Niestety okazuje się, że trochę jednak są, potem, ale to jest już zupełnie inna historia.

To, co powiedziałeś o ostatniej części trochę mnie uspokoiło, bo wydawało mi się, że ta diagnoza jest trochę zbyt prosta.

Wiesz, tutaj przede mną leży 270 stron, a ja powiedziałem coś tutaj w trzech zdaniach. Oczywiście wszystko, co teraz powiem, będzie zbyt proste, bo na wytłumaczenie tego, co mam w głowie poświęciłem 270 stron, bardzo dużo znaków i bardzo dużo swego czasu. A w ciągu pięciu minut zupełnie nie czuję się na siłach, szczególnie, że jestem w takim momencie, w którym zakończyłem coś, co chciałem opowiedzieć. Naprawdę, gdybym mógł opowiedzieć coś, co powiedziałem tutaj w pięciu zdaniach, nie napisałabym tej książki. Tak że jesteśmy w bardzo patowej sytuacji spotkania, nikt z państwa nie przeczytał tej książki i ja teraz staram się nieudolnie wytłumaczyć coś w kilku zdaniach i a priori jestem skazany na niepowodzenie, ponieważ... No właśnie, bo poświęciłem na to wiele stron i wiele wysiłku i przekonany jestem, że gdyby udało mi się to powiedzieć w zwykłej rozmowie, to nie byłoby powodu, dla którego miałbym napisać tę książkę, bo po co wtedy.

Powiedz mi, pierwsze pięć rozdziałów, z którymi miałem do czynienia, jest napisane w takim dość ciekawym języku. Dlatego, że z jednej strony ten język można podejrzewać o reminiscencje science-fiction, ale z drugiej strony wpisuje się on w taką anty-utopię, gdzie nie tyle jest mowa o przyszłości, ile raczej hiperbolizowana jest terażniejszość.

Dokładnie tak, to znaczy, że stan tej rzeczywistości, która opisana jest w pierwszej części, jest pewną parabolą tej rzeczywistości, której doświadczamy my teraz,

pewnym przejaskrawianiem, hiperbolizacją. Nie jest to zupełnie coś nowego, bo kiedy wyjdziemy z tego klubu, zostaniemy zaatakowani od razu tysiącem bodźców. Można też powiedzieć, że jest to pewien rodzaj karykatury, tyle że nie służy to śmieszności, co wyeksponowaniu pewnych mechanizmów, które ja zauważyłem w życiu, a pominięciu innych, aby to, o czym chcę powiedzieć było na pierwszym planie.

Idąc dalej tym tropem, anty-utopia miała zazwyczaj w tradycji tego gatunku literatury mniej lub bardziej określonego wroga, jak na przykład w przypadku polskiej literatury lat 80. Oczywiście, to wszystko dotyczyło kwestii politycznych i stąd to przeniosło się na lata 90. i właściwie nasza fantastyka w osobach znanych, aktualnie publicystów, typu Ziemiakiewicz, dotyczyła de facto spraw politycznych. A z drugiej strony istnieje również taka tradycja duchowa konstruowania anty-utopii. Kiedy opowiadałeś o książce użyłeś określenia „obca siła”...

Tak, bo cała moja książka jest równocześnie wpisana w tradycję opowieści komiksowej, tradycję opowieści, w której czytasz coś, głównie z tego powodu, bo jesteś niesłychanie ciekawy tego, co wydarzy się dalej. Z drugiej strony są takie komiksy, które czytasz po to, bo jesteś ciekawy a (jakby przy okazji) one zawierają taką nadbudowę, która powoduje, że zaczynasz myśleć o pewnych rzeczach. A obca siła w każdym komiksie? W większości filmów science-fiction pojawia się wróg, obcy charakter, który symbolizuje czyste zło. W mojej książce kimś takim jest producent serialu telewizyjnego. W finale okazuje się kimś ważniejszym niż sam autor, kimś ważniejszym niż ja. On wypowiada takie słowa, że jest kimś ważniejszym ode mnie, dlatego, bo gdybym ja go nie wymyślił, to by go po prostu nie było, nie musiałby tego wszystkiego robić i nie musiałby o tym myśleć. On mi jest potrzebny, ja jemu nie jestem potrzebny. On mi jest potrzebny, ja musiałem wymyślić taką osobą, która będzie spajała całą tę rzeczywistość. A poza tym on jest takim rodzajem złego człowieka. Doktor No. Cała ta powieść ma bardzo mocne osadzenie w konwencji opowieści o agencie 007. Nie wiem czy państwo czytali powieści Borisa Akunina? W jego książkach czuje się naprawdę akcję.

Ale powróćmy jeszcze do tej kwestii „obca siła” czy jakiś tam konkret. Bo tutaj są jakby dwie opcje: albo z jednej strony, tak jak faktycznie wskazuje na to polska tradycja, mamy dość konkretne treści: ta obca siła nie ma charakteru enigmatycznego i metafizycznego, ale to jest dość konkretny wróg – to może być system polityczny, system ekonomiczny, liberalizm albo komunizm. Natomiast w tradycji zachodniej, rzeczywiście bardzo silnie pojawia się taka kwestia obcej siły, która jest kompletnie nierozpoznawalna.

W mojej powieści obca siła symbolizuje to rozedrganie, ten nadmiar informacji, ona jest jakby upersonifikowaniem nadmiaru, upersonifikowaniem nie tyle mass-mediów, ale tego czegoś, czego mass-media są... nośnikiem.

Ok. rozumiem. Tak, i to jest bardzo ciekawe, bo oczywiście massmedia są czymś konkretnym, biorą się znikąd, one konstytuują się w bardzo konkretnej sytuacji społecznej, ekonomicznej, i trochę na ten konkret tę rozmowę chciałem naprowadzić. Zgodzisz się chyba ze mną, że te mass-media, które tutaj są, są tą obcą siłą, nie biorą się znikąd. Tak, tylko one w mojej powieści w pewnym momencie nie są wymyślone przez ludzi, tylko to jest pewien mechanizm, który nimi zawłada.

I to jest ten mechanizm hiperboli, który rzeczywiście w tego typu estetyce się pojawia i jest bardzo czytelny. I teraz moje kolejne pytanie brzmi następująco: w prologu pojawiają się jakby dwie rzeczy: tzn. pierwszą jest ten powtarzający się refren: „coś się w końcu musi stać”, a drugą jest takie zdanie, które pozwolę sobie przytoczyć: „Sekundę następującą po 3.33 wszyscy widzowie odczuli w tym samym czasie, identyczny ob-

raz czołówki odbijający się w milionach źrenic tworzył pewien rodzaj energetycznego połączenia, doskonale zsynchronizowane zegarki wskazywały doskonale tę samą godzinę na niemal wszystkich prawych dłoniach”. I mnie zainteresowało to słówko „niemal”, to znaczy...

Robert Robur nie ma zegarka. (śmiech) Robert Robur naprawdę nie ma zegarka. Potem spotyka osobę – nie pamiętam na której stronie – która też nie ma zegarka. Potem jeszcze dwie inne osoby nie mają zegarka.

To jest taki element subwersywny reguł. Uhm.

Dobrze (śmiech), czyli krótko mówiąc, jeśli ustalimy, że ten świat skonstruowany przez rzeczywistość medialną, to diagnoza, która oczywiście jest trafna, to coś się musi stać, czyli coś się musi w końcu rozpieprzyć.

„Coś się musi stać” jest też takim refrenem, który odczuwam w otaczającym realu. To znaczy, mam takie wrażenie, że jak gdyby ci ludzie, którzy mnie otaczają, jakby liczą na to, że mimo że oni nie zaczęli działać, no, coś się wydarzy, coś się zmieni. I to jest taki refren, który jest jednym z takich podstawowych doznań ludzi, którzy żyją tu i teraz.

Ale, jeśli mówisz, że „coś się musi stać”, w sensie coś się musi wydarzyć bez aktywności, to jest to taka podstawa, która nie doprowadza do jakiegokolwiek zmiany. To jest taka podstawa, która powoduje, że dzieje się coś bardzo złego, bo wszyscy zaczynają biernie na to czekać i są w takim stanie, w jakim jest społeczeństwo w mojej książce, czyli w stanie pełnego wyłączenia się. Oni tylko żyją, zasypiają, budzą się, nic nie robią. Jest im z tym potwornie źle, ale ciągle czekają, ciągle szepczą sobie: „coś się musi stać”, ale sami nic nie robią. No i dzieje się, rzeczywiście dzieje się coś, ale to, co się dzieje jest bardzo, bardzo złe.

Twój bohater reprezentuje właśnie taki wątek trochę wywrotowy, jest oczywiście bardzo silnie zaangażowany w sytuację tego świata... On w ogóle nie jest zaangażowany.

Nie, on jest zaangażowany, w tym sensie, że robi w mediach, amigo, no. Nie, on przestał robić w mediach. Od kiedy rzuciła go dziewczyna powiedział, że pierdoli wszystko...

A później jest zaproszony na rozmowę...

Ale zaproszony na tę rozmowę idzie dlatego, bo nagle zaczynają otaczać go znaki. Wszyscy zaczynają mu mówić, że musi pójść na tę rozmowę i on zupełnie nie wie dlaczego.

Ale on mówi tak, że pojawia się kwestia pieniędzy. Jego pierwsze „tak” dotyczy propozycji finansowej. No... to nie jest do końca tak, że on idzie tylko, bo chce dostać kasę.

Może przez ten fragment. Ja mówię tylko o reakcji, o jego reakcji na... wiesz... On na początku mówi: „nie nie nie nie” i w momencie, kiedy... oczywiście on jest nieświadomy, to jest ten słynny poranek, o którym też wspominałeś...

On jest po totalnej imprezie. Dzwoni do niego człowiek, wiele razy byłem w takiej sytuacji, że do mnie ktoś dzwonił. Poza tym zgadza się również dlatego, bo też nie jest zupełnie asertywnym człowiekiem, i zgadza się. To wydaje mi się nadinterpretowaniem, nawet jeśli on pomyślał o pieniądzach, to nie znaczy, że to jest ten prawdziwy powód. No i to nie jest ten prawdziwy powód.

Ok. Czyli można człowieka, którego ty w tym systemie widzisz jako wywrotowego, można go scharakteryzować takimi cechami jak: brak asertywności, jak nałogi – co mu zarzuca jego była dziewczyna, w ogóle, brak pracy... Krótko mówiąc, to jest taka teza, która głosiłaby, że ten świat, który jest światem złym, zdehumanizowanym, tak naprawdę może być rozwalony wewnętrznym przez

ludzi, którzy reprezentują postawy nihilistyczne.

Nie, to znaczy, aby on mógł wpłynąć na ten świat, musi się zmienić. I musi być zmiana, bo jeśli on reprezentowałby ciągle postawę wycofania, nie byłby w stanie do tego dojść. Jeśli pozostałby przez cały czas takim bohaterem, jakim był na początku, no to nie byłby on w stanie nic osiągnąć.

To znaczy, że twierdzisz, że w toku on się zmienia?

Tak, to jest wielka zmiana. I żeby było jeszcze śmiesznej, zmiana spowodowana jest czymś takim jak miłość. Spotyka po prostu piękną kobietę.

No nie, to straszne, a nie może on na przykład jakiegoś przemówienia wysłuchać...

Nie. Mógłby na przykład trafić do takiego miejsca w tym mieście, które jest pełne biednych umierających na ulicy dzieci i mogłoby go to wzruszać...

A dlaczego nie wybrałeś tego wątku, tylko jednak tę miłość, która zawsze wybroni się...

Bo miłość jest atrakcyjniejsza pod względem fabularnym, a poza tym wydaje mi się, że jest wielką siłą.

Ale mielona już była tyle razy...

Ale nigdy nie była mielona w taki sposób, w który ją ja przemielilem. (śmiech, oklaski).

Ok. Zmiana następuje po miłości...

No wiesz, ja ci mówię: „zmiana następuje po miłości”, to zmiana, która następuje w moim bohaterze zajmuje bardzo, bardzo dużo stron, zajmuje bardzo, bardzo dużo tłumaczenia tego, i w momencie, w którym ja tak mówię, to trywializuję to. I w zasadzie ja tak mówię, wciąż jest inaczej. I to też nie jest do końca tak, bo wciąż pojawia się tak mnóstwo sił, że nie potrafię teraz dokładne wyeksplikować tego, co w niej zawarłem. Szczególnie w paru zdaniach, szczególnie, kiedy skończyłem ją parę godzin temu.

W każdym bądź razie zmiana dokonuje się poprzez miłość... co mnie naprawdę interesuje, bo staram się otworzyć pewne kody, rozwiązać – jeśli żyjemy w świecie, w jakim żyjemy, a świat ten nie jest najpiękniejszym ze światów w jakim żyjemy – jeżeli spodziewamy się, że to musi pierdziachnąć i myślę, że prędzej czy później pierdziachnie. No, ale sam przecież nic nie robisz, no zupełnie nic. Nie masz takiego wrażenia, że wszystkie twoje działania są super mało ważne, i że jakby cię nie było, to nic by się nie zmieniło. Że jakby nagle wymazać ciebie, Igora Stokiszewskiego, i znalazłby się ktoś inny na twoje miejsce, i kto odgrywałby twoją rolę... i zupełnie nic by się nie zmieniło?

Nie, oczywiście...

Naprawdę zgadzasz się z tym, że nic by się nie zmieniło, gdyby ciebie nie było?

Absolutnie tak.

To jeśli się z tym zgadzasz, to w ogóle...

Jeśli by nas wszystkich wymazać, to owszem.

Nie, jakby tylko ciebie wymazać... (śmiech) i nikt by nie pojawił się na twoje miejsce. Dla mnie to jest na przykład niesamowite, że ty mówisz „tak”. No... przecież ja bym się z tym strasznie czuł. I wiele razy też tak myślałem i to powodowało we mnie bardzo złe myśli, które z drugiej strony zadziałały konstruktywnie. Ale z innej strony, możemy przecież założyć tak, że gdyby ciebie wymazać, ciebie z wszystkimi twoimi działaniami, które kiedykolwiek, choć trochę odształciły rzeczywistość, w której żyjesz, to byłby ktoś inny, kto zająłby twoją rolę. I to nie jest za bardzo optymistyczna myśl, prawda?

Ale nie rozumiem dlaczego? Ale jaki jest z tego wniosek?

No, ja nie wiem, jaki jest z tego wniosek, sam musisz sobie odpowiedzieć na to. (...)

Spotkanie z autorem odbyło się w Klubie LOKATOR, 21.10.2006 w ramach programu Homines Urbani. Rozmowę spisał Stanisław Kot.



Foto: Piotr Kaliński, Klub LOKATOR, 27.11.2006

Spadła na mnie láska nebeská...

**Z Mariuszem Szczygłem,
reporterem „Gazety Wyborczej”,
czechofilem, autorem reporterskiej
opowieści o Czechach „Gottland”**

rozmawia Igor Kędzierski

Igor Kędzierski (I. K.): Czy nazwałbyś siebie czechofilem a to co robisz czechofilstwem?

Mariusz Szczygieł (M.SZ.): Powiem szczerze, że wolę pisać niż mówić, ponieważ pisanie wychodzi mi dużo lepiej niż mówienie. Jestem reporterem, więc proszę ode mnie za dużo nie oczekiwać (śmiech). Rzeczywiście czuję się czechofilem. Jak mówiła babcia jednej mojej koleżanki: „wiesz, ten Mariusz Szczygieł, on się okazał jednak czechofilem. To był zawsze taki miły chłopak, ale coś podejrzanego w nim było...”. Jestem czechofilem, ale nie nazwałbym siebie znawcą historii i kultury Czech, w tym sensie, że nie jestem specjalistą, a jeśli już specjalistą, to bardziej od reportażu jako gatunku dziennikarskiego, czyli od tego jak zapisać ludzki los, jak nadać mu na formę na papierze, żeby był czymś więcej niż tylko przeżyty przez kogoś losem. Mam nadzieję, że miłość do Czech mnie trochę usprawiedliwia ze wszystkich moich potknięć i błędów. Nie wiadomo, skąd się bierze miłość, człowiek się zakochuje i nie wie dlaczego. Po prostu spadła na mnie słynna láska nebeská (czes. niebiańska miłość) z nieba i już piąty rok się jej poddaję, bo pięć lat temu nie wiedziałem nawet, jak jest po czesku Dzień dobry...

I.K.: Myślę, że Twój punkt widzenia w stosunku do Czech różni się od mojego pod jednym zasadniczym względem. Będąc „zawodowym” filologiem mam do czynienia na ogół z pisarzami, festiwalami literackimi, redakcjami, przede wszystkim z tekstem. W dużo mniejszym zaś stopniu z czymś, co jest Twoją domeną, tzn. z życiem codziennym w Czechach. Dlatego chciałbym Cię zapytać o to, jakie jest Twoje doświadczenie, co Tobie Czechy dają?

M.Sz.: Fascynuje mnie na przykład to, że tam nikt nie zrywa rozkładów jazdy na przystankach. Co mnie fascynuje najbardziej, to ich podejście do życia, podejście, które jest akceptacją dla miejsca i czasu w którym się jest, w którym się żyje. Czesi siedzą nad swoim piwem, a kiedy na nich patrzymy, widzimy, że oni lubią miejsce i stan, w którym są, za niczym innym nie gonią. Tego mi bardzo w naszych czasach brakuje. Oczywiście proszę wziąć poprawkę, że jako czechofil niektóre rzeczy idealizuję. W Czechach imponuje mi ich – powiedziałbym – uspokojony stosunek do życia. To jedyna rzecz.

Efektom drugiej płaszczyzny mojej fascynacji jest książka, jaką popeliłem o Czechach pt. „Gottland”. Po jej napisaniu ludzie zaczęli mnie pytać, dlaczego ją napisałem, dlaczego są w niej takie przerażające historie. Skłoniło mnie to do zrobienia sobie psychoanalitycznego rachunku sumienia. Odkryłem, a raczej wyczułem, że w pewnym sensie ja w tych Czechach odnajduję siebie. Szukam sobie takich bohaterów, poprzez których mogę się przyjrzeć sobie samemu. Jestem typem zgodnym, nieskorym do agresji, do walki, jestem typem niekonfrontacyjnym. Myślę, że w sytuacjach ekstremalnych zachowywałbym się raczej jak większość Czechów, nie jak Polak. Może wynika to z tego, że jestem jedynakiem, który był trzymany pod kloszem przez mamę, że nie miałem rodzeństwa, w związku z tym tak jak większość ludzi, którzy mają rodzeństwo, ja nie przeszedłem szkoły walki o swoje z siostrą lub z bratem. Przez długi czas wydawało mi się nawet, że jestem nie przystosowany do rzeczywistości, że jestem za grzeczny, za spokojny, takie ciepłe kluchy. W pewnym momencie zorientowałem się, że nie tylko ja się tak zachowuję, że istnieje cała kultura, w której taka postawa jest postawą zupełnie normalną. I to mi przyniosło ogromną ulgę.

I.K.: A jak sobie z tymi Czechami dajesz radę? Bo ja za każdym razem, kiedy tam jadę, i próbuję dowiedzieć się czegoś istotnego o czeskiej kulturze, próbuję rozmawiać z Czechami, to kończy się to zwykle tak, że mnie bagatelizują, mnie i moją powagę podejścia, zbywają mnie, patrzą na mnie

z przymrużeniem oka, a ich stosunek jest często błazeńsko-ironiczny. Wtedy zawsze mi się przypominają znane słowa protektora Rzeszy dla Czech i Moraw, Reinharda Heydricha, który mawiał, że Czesi to śmiejące się bestie. Dla bohemy jest to oczywiście koszmar. Wyciągnięcie od Czechów konkretnej informacji, dotarcie do jakiejś treści ich kultury jest równie trudne jak polowanie na egzotycznego zwierza. Jakie są Twoje doświadczenia w tej materii?

M.Sz.: Jeśli mowa o ich bagatelizującej postawie, to przypomniła mi się anegdota, jak bardzo znany czeski poeta metafizyczny, Otakar Březina, szedł ze swoim asystentem, to był mniej więcej koniec XIX wieku czy początek XX, no więc szedł przygarbiony i podpierał się laską, kiedy nagle ten asystent mówi: „Mistrzu, pozor, letadlo!!” (Mistrzu, uwaga, samolot!!), ponieważ to był czas, kiedy po niebie nad Pragą zaczęły latać pierwsze samoloty. Otakar Březina nie podniósł głowy i pochylony nad swoją laską, odparł: „Potrafię to sobie wyobrazić”.

Jeśli chodzi o ludzi, to muszę powiedzieć, że opór jest tylko na początku. Pewien człowiek mi tłumaczył, że Czecha trzeba najpierw „oslovit” (zagadnąć), kiedy zatem ja jako Polak przychodzę, uśmiecham się i zaczynam mówić po czesku, to jest to dla mnie przepustka do wszystkiego. Czesi są tak zadowoleni, jeśli Polak stara się mówić w ich języku, że nieba Ci przychylą. Bo to znaczy, że przedstawiciel lokalnego mocarstwa ich nie ignoruje. Takie są moje doświadczenia w pracy reporterskiej. Nie dziwię się, że kiedy do restauracji w Czechach przychodzi Polak i mówi po polsku, zmuszając kelnera, żeby ten go rozumiał, no bo „on tutaj mówi przecież p-o-p-o-l-s-k-u”, to Czech reaguje na tę potrzebę zmanifestowania swojego poczucia wyższości oporem czy ironią. Ale ja nie mam takich problemów, zwykle ludzie bardzo chętnie mi pomagają.

I.K.: Cenię w Twojej książce to, że pisząc o Czechach, o ich historii czy współczesności, unikasz szablonu Czecha jako pyzatego, rumianego Szwejka, któremu kałdun wystaje spod pazuchy, który pyka fajkę i lubuje się w snuciu knajpianych dykteryjek, bo taki stereotyp w Polsce pokutuje. Ty omijasz tę nieszczęsną tradycję szerokim łukiem. Robisz to świadomie?

M.Sz.: Dla mnie ta strona czeskiej historii czy raczej czeskich losów, którymi się zajmuję jako reporter, była także odkryciem. Byłem już wtedy po lekturze Hászka, po Hrabalu, po całej tej kulturze piwnej, więc już wtedy ją znałem. I nagle okazało się, że Czechy mają jeszcze inną, bardziej tragiczną twarz. Uświadomiłem sobie, że jako reporter jestem zobowiązany do pisania właśnie o tym. Poza tym muszę normalnie zarabiać na życie, muszę mojej gazecie proponować tematy, których jeszcze nie było. Wiele, jeśli nie wszystkie, z tematów zawartych w „Gottlandzie” w polskiej prasie wcześniej nie zaistniało. Jeśli ktoś pamięta moje teksty o Polsce z początku lat 90., które wyszły w książeczce „Niedziela, która zdarzyła się w środę”, to tam ta moja Polska została ukazana w groteskowej perspektywie, w krzywym zwierciadle. Jak pisał jeden z recenzentów moje spojrzenie na ludzi było takie samo, jak spojrzenie Dudy-Gracza na postaci z jego obrazów. Powinno się spodziewać sam po sobie, że będę wyłapywał raczej tę stronę czeskiej duszy, że napiszę o Járze Cimrmanie albo o Szwejku, jak uciekał w przebraniu kobiecym z frontu rosyjskiego. „Gottlandem” siebie nawet zaskoczyłem.

I.K.: Rzecz, która zwróciła moją uwagę podczas lektury „Gottlandu”, to to, że wszystkie historie tam zawarte, choć są bardzo zróżnicowane, dotyczą właściwie jednego tematu: bohaterstwa. Przyznam, że niezmiernie mnie to zaskoczyło, ponieważ bohaterstwo Czechów dla Polaków brzmi jak oksymoron, prawda? Temat zresztą dla

samych Czechów bardzo drażliwy. Twoja książka wnosi nową perspektywę, uczy Polaków, oczywiście pośrednio, bo nie robisz tego wprost, patrzeć na czeskie bohaterstwo – które faktycznie istniało – niestereotypowo, uczy nie oceniać go własnymi kryteriami. Przypomina mi się film „Ciemnoniebieski świat” Jana Sveraka, w którym występuje postać pilota Bedricha Mrtvégo, walczącego w czasie II wojny światowej po stronie wojsk brytyjskich. Jest najbardziej strachliwym pilotem w całej eskadrze. Za każdym razem kiedy mają lecieć walczyć z nazistami w powietrzu, jego bolą zęby, ma rozwolnienie, omdlewa, ale mimo wszystko leci. Ginie niestety jako jeden z pierwszych. Następuje interesująca scena, kiedy oficer, dowódca eskadry, pisze do rodziny Mrtvégo list zawiadamiający o jego śmierci. W trakcie pisania listu pojawia się dylemat, jak opisać jego śmierć, czy można ją uznać za bohaterką. Po dłuższym namyśle dochodzą do wniosku, że tak, że Mrtvý był największym bohaterem w całej eskadrze, ponieważ walczył nie tylko z nazistami, ale walczył też ze swoim lękiem, z samym sobą. **Może to jest właśnie typ bohaterstwa, z jakim mamy do czynienia w Czechach?**

M.Sz.: A mnie się przypomniał inny czeski film, „Musimy sobie pomagać”. Jeden z bohaterów, Horst, który jest pół-Czechem, pół-Niemcem, typowym nowym faszystą, pyta głównego bohatera – którego gra Bolek Polívka – kto byłby dziś na tyle głupi, żeby zachowywać się jak bohater? Tym, co mi niezmiernie imponuje w czeskiej kulturze, to umiejętność przyznania się do własnego strachu, słabszych stron swojego charakteru. U Hrabala jest takie piękne zdanie, kiedy pisze, że tak bardzo bał się tajnej policji, że jeździł autobusami po Pradze, aby go nigdy nie zastali w domu. I ze strachu sam siebie trzymał za rękę. Zrobiło to na mnie ogromne wrażenie, bo nie znam polskiego pisarza, który napisałby coś takiego. Mamy teraz 25 rocznicę stanu wojennego i gdyby jakiś polski pisarz opisywał to wydarzenie, to pisałby raczej o tym, jak udało mu się zrobić w konia bezpiekę. Czesi zaś mają umiejętność dystansowania się do siebie, weźmy choćby powieść „Tchórze” Josefa Škvoreckiego. To sprawia, że umieją sobie lepiej radzić ze swoimi lękami. Gdyby jakiś krytyk literacki, który jest jednocześnie psychoanalitykiem zrobił czeskiej literaturze poważną psychoanalizę, to moim zdaniem wyszłoby, że jest to jedna z niewielu kultur, która umie swoje mankamenty i lęki zamienić w zaletę, w jakąś wartość. Umie się z nimi w jakiś sposób zmierzyć.

Przypomniał mi się fotograf Jan Saudek, ten, który od 40 lat na tle odrapanej ściany fotografuje nagich ludzi, a zwłaszcza bardzo grube kobiety, które przypominają socjalistyczne ekspedientki ze sklepu mięsnego. Otóż opowiedział mi, że kiedy był w wojsku, to uczył się na pamięć przysięgi, w której przysięgali wierność komunizmowi, nienawiść do kapitalizmu itd., ale jednocześnie uczyli się dwóch zdań w języku angielskim. Pierwsze brzmiało: „Jestem Czechosłowakiem”, a drugie „Poddaję się!”. Podoba mi się, że kiedy człowiek z nimi rozmawia, to przyznają się do tego, mówią: „tak, my Czesi właśnie tacy jesteśmy i kropka!”.

I.K.: Niezgodziłbym się jednak z twierdzeniem, że Czesi są tak otwarci w mówieniu o swoich słabościach. Nie sposób zaprzeczyć, że w czeskiej świadomości obecny jest ciężki wyrzut sumienia, którego pochodzenie jest zrozumiałe. Moim zdaniem Czesi niezupełnie sobie z tym radzą. Bo humor, żartobliwe podejście do tematu jest raczej wentylem bezpieczeństwa niż rozwiązaniem sprawy. Redukuje ciśnienie, jakie wytwarza sumienie. Mój znajomy z Pragi, który jest pastorem ewangelickim, powiedział kiedyś, że Czesi mają „zaszambione” sumienie, ale nie na

tym polega problem, że ono jest nieczyste, tylko na tym, że w Czechach nie ma konfesjonału, do którego mogliby pójść oczyścić się z poczucia winy. Nie chciałbym być gołosłowny i w związku z tym przytoczę słowa Jáchyma Topola, który w swojej powieści „Nocna praca” napisał parafrazę mitu o Lechu, Czechu i Rusie. Lech, Czech i Rus wędrują przez tereny dzisiejszej Europy Środkowej, Rus się w pewnym momencie oddziela i ślad po nim ginie. Lech i Czech idą ramię w ramię dalej, docierają na ziemię dzisiejszych Czech, wspinają się na górę, Lech się rozgląda, widzi przed sobą morze i postanawia, że tam osiedli swoją ludność, zabiera ze sobą najzdolniejszych rycerzy, najsilniejszych mężczyzn, najpiękniejsze kobiety i rusza przed siebie. Czech zaś stwierdza, że jemu nie chce już się dalej męczyć i nie ma zamiaru kontynuować marszu. Postanawia zostać tu, gdzie jest. I tak się składa, że zostają z nim same prostytutki, kaleki i dzieci. To pisze sam Czech! To znamieny dowód na to, jak ostre poczucie niższości nęka niektórych Czechów.

M.Sz.: Co innego przyznawać się do swoich słabości, co innego mieć wyrzuty sumienia. Wyrzut sumienia jest chyba obecny w kręgach intelektualnych. Czeska metoda na przeżycie polega na tym, by robić swoje, jak pisała o tym pięknie Milena Jesenská w swoich reportażach. Robić swoje, ponieważ jest nas zbyt mało, żebyśmy mogli ginąć. Ze wprawdzie pięknie jest umierać za ojczyznę, ale co będzie, kiedy zginiemy za nią wszyscy? Wtedy ojczyzna stanie się niezamieszkałym pojęciem. W związku z tym naszym zadaniem jest być Czechem, a być Czechem oznacza pracować, robić swoje i przetrzymać silniejszego. Wydaje mi się, że to ma związek z ateizmem i sekularyzacją Czechów, brakiem wiary w Boga i brakiem wiary w życie pozagrobowe i w to, że coś jeszcze jest nad nami. Może jest tak, że kiedy brak szerszej perspektywy, kiedy brak wyobraźni, która jest potrzebna, żeby uznać, że istnieje coś jeszcze ponad tym światem, to wówczas rzeczywiście ciężko jest poświęcić życie dla ojczyzny. Jeśli się ma tylko to jedno życie, i w dodatku podchodzi do niego pragmatycznie, to chciałoby się z niego wyssać jak najwięcej pozytywnych rzeczy.

I.K.: ...Nie zapominajmy, że Czesi po upadku hucytyzmu nabrali głębokiej niechęci do religii jako takiej, a to odcisnęło piętno na ich estetyce, która nie toleruje patosu i przesadzonych gestów. Zanik transcendencji równa się zanik patosu, a to sprawia, że o bohaterów bardzo trudno.

M.Sz.: No właśnie, dla przykładu biskup Tomáš Halík opowiadał, jak duże trudności mieli z przełożeniem Pisma świętego. W języku czeskim nie było słów, które mogłyby być dobrymi ekwiwalentami, zwłaszcza w kontekście, który wymagał patetycznego stylu. Patos może i pojawia się w kulturze czeskiej, ale podejrzewam, że jest on zupełnie inaczej rozumiany, niż u nas. Rozmawiałem ostatnio z pisarką czeską, która nazywa się Natalie Kocabová, napisała już dwie książki, jest też piosenkarką, wnuczką ewangelickiego pastora. Powiedziała mi, że napisała książkę inną niż książki, jakie piszę się w Czechach, ponieważ ona uwielbia patos. Zaciekawili mnie to, chętnie przeczytam czeską książkę, w której jest patos. Zaznaczyła mi fragmenty, w których ten patos miał się pojawiać, i wyobrazić sobie, że tam po zdaniu: „Boże, czemuś mnie opuścił!” następuje: „Boże, gdzie tu jest toaleta?!”...



Jedyny festiwal w Polsce...

Z Mariuszem Frukaczem wiceprzewodniczącym biura festiwalowego OFAFA

rozmawia Stanisław KOT

W Krakowie festiwalu co nie miara. Czym OFAFA różni się od innych?

OFAFA, czyli Ogólnopolski Festiwal Autorskich Filmów Animowanych, to jedyny festiwal w Polsce, a nie tylko w Krakowie, poświęcony tylko i wyłącznie polskiemu, autorskiemu filmowi animowanemu. Na pozostałych imprezach prezentowany jest jedynie wycinek polskiej animacji - filmy profesjonalne lub studenckie, na niektórych zobaczymy jedynie filmy amatorów. OFAFA jest corocznym podsumowaniem produkcji polskiej animacji. Na OFAFĘ przyjeżdżają twórcy, producenci i miłośnicy animacji z całej Polski, całe środowisko. Mamy też specyficzną i wierną publiczność. Tutaj nie trafiają „ludzie z ulicy”, przypadkowi. A jeżeli tak się stanie, to zazwyczaj wracają do nas zafascynowani tymi filmami i klimatem panującym na imprezie. Często sami próbują swoich sił w animacji. OFAFA stała się także miejscem, gdzie zaczynają się kariery młodych twórców. Dla przykładu: na pierwszych edycjach festiwalu swoje amatorskie animacje pokazywała Anna Matysik. Zachęcona sukcesami rozpoczęła studia w łódzkiej filmówce. Jej nagradzane, przede wszystkim na OFAFIE filmy studenckie umożliwiły jej wyjazd do Niemiec, gdzie zrealizowała swój dyplom i uzyskała dofinansowanie do kolejnych filmów. W tym roku pokazemy w konkursie, już profesjonalnym, jej kolejny film „Mozartomania”. Podobnie było z Joasią Jasińską-Koronkiewicz. W 2001 roku wygrała festiwal filmem „Mileńka”. Została wówczas zauważona przez Ewę Sobolewską, producentkę z TvSFA w Poznaniu. Dostała propozycję współpracy, a po studiach zrealizowała tam dwa filmy: uhonorowany w ubiegłym roku przez publiczność „Len” oraz prezentowaną w tym roku w konkursie profesjonalnym impresję muzyczną „Dies irae”. Takich przykładów można wyliczyć więcej, jesteśmy z tego dumni.

Kto stoi za OFAFĄ?

Pierwsza edycja OFAFY odbyła się 1993 roku. Niestety dwukrotnie, ze względów finansowych, festiwal się nie odbył, stąd mamy teraz 12. a nie 14. edycję. Festiwal był pomysłem Janusza Korosadowicza, od początku odbywał się w kinie Wrzos. Od VI OFAFY, czyli od roku 2000, działamy wspólnie i od tego czasu udawało nam się pokonać wszelkie przeciwności losu. A nie jest łatwo zdobyć środki na taką imprezę, ponieważ dla większości decydentów film animowany ciągle pozostaje „anonimowy” i jest utożsamiany z bajkami dla dzieci, typu „Bolek i Lolek”. Mało osób zdaje sobie sprawę z faktu istnienia animacji adresowanej do dorosłych, animacji autorskiej, która przez wiele lat święciła tryumfy na światowych festiwalach. Znamienne jest to, że jedyny Oscar dla polskiego filmu zdobyła właśnie animacja Rybczyńskiego „Tango”. W ostatnich latach mieliśmy jeszcze nominację „Katedry” Bagińskiego, ale kto z szerokiej publiczności zna filmy Kuci, Dumy, Szczechury czy Czekaly. Festiwalowi pomagają na pewno wzrost zainteresowania tą dziedziną sztuki notowany w ostatnich latach, ale przede wszystkim wsparcie wielu przyjaciół i miłośników festiwalu, szczególnie ze Stowarzyszenia Filmowców Polskich i TVP. Całe szczęście, pomagają nam także studia filmów animowanych, które pożyczają filmy, wspierają przy organizacji wystaw...



To już dwunasta odsłona festiwalu, co zmieniło się w przeciągu tych 12 lat?

Zmieniła się chociażby nazwa... Pierwotnie OFAFA była Ogólnopolskim Festiwalem Amatorskich Filmów Animowanych, na którym były prezentowane jedynie filmy amatorów i studentów. Po trzech latach festiwal na tyle okrzepł i zdobył zaufanie środowiska, że człon „Amatorskich” zastąpiono słowem „Autorskich” i powstał konkurs na którym są prezentowane także filmy profesjonalistów. Wzrosła także ranga festiwalu, a co jest z tym nierozłącznie związane, liczba zgłaszanych i prezentowanych w konkursie filmów. Festiwal jest obecnie swoistym barometrem stanu polskiej animacji, można na nim dostrzec panujące tendencje, zdiagnozować zagrożenia, ocenić kondycję polskiej animacji. Np. w 2000 roku w konkursie profesjonalnym startowały dwa genialne filmy: „Zbrodnia i kara” Piotra Dumyły oraz „Strojenie instrumentów” Jerzego Kuci, który jest dla mnie najlepszym polskim filmem animowanym przynajmniej ostatniego dziesięciolecia. W kolejnych latach bywało gorzej, co odzwierciedlało spadek kondycji autorskiej animacji. W ostatnich latach znów nastroje na festiwalu są bardziej pogodne. Na szczęście, na niezwykle wysokim poziomie zawsze stały filmy studenckie. Myślę, że gdyby startowały w tej samej kategorii co filmy zawodowe, niejednokrotnie zdobywałyby festiwalowe laury. Coraz ciekawiej wyglądają także filmy amatorskie: wykorzystanie technik komputerowych i kamer cyfrowych powoduje, że z roku na rok ich poziom techniczny rośnie. Niestety nie zawsze twórcy zafascynowani możliwościami warsztatowymi pamiętają o tym, by filmem coś przekazać, prowadzić z widzem dialog. W ostatnich latach udało nam się także pozyskać więcej funduszy na nagrody, dzięki czemu za laurami festiwalowymi stoi nie tylko prestiż ale i wymierna korzyść majątkowa.

Co w tym roku szykuje się ciekawego na festiwalu?

Jak co roku, polecam gorąco konkurs. Jury będzie miało sporo pracy, bo komisja selekcyjna dopuściła do konkursu aż 72 filmy, z czego 22 są profesjonalne, 27 studenckich oraz 23 amatorskie. Konkurs, który jest corocznym podsumowaniem krajowej produkcji filmów animowanych, to najważniejsza część festiwalu. Równie atrakcyjnie wygląda pozakonkursowy program OFAFY. Wydarzeniem będzie pełna retrospektywa filmów Piotra Kamlera, zorganizowana z okazji przypadających 70. urodzin artysty.

Widzowie zobaczą 12 autorskich animacji jubilata, w tym „Zieloną planetę” (1967), „Śloniogę” (1968) i jego najśłynniejszy film – pełnometrażowy „Chronopolis” (1982). Autorski wybór własnych filmów animowanych zaprezentuje także dwóch jurorów – Jerzy Kalina i Marian Cholerek. Uczestnicy festiwalu będą mieli okazję zapoznać się również z wystawą prezentującą projekty plastyczne i graficzne ich filmów. Z kolei Marcin Giżycki przedstawi własną animację „Pięć momentów filmu abstrakcyjnego” (2006) oraz dwa dokumenty poświęcone wybitnym twórcom polskiej animacji: „Wyspa Jana Lenicy” (1998) oraz „Podróż Daniela Szczechury” (2005). Od niedawna staramy się wychodzić z festiwalem poza kino Wrzos. W tym roku część imprez odbędzie się w klubie Lokator, w tym pokaz filmów zrealizowanych przez Rolanda Topora poprzedzony spotkaniem z Agnieszką Taborską, autorką antologii twórczości legendarnego pisarza, rysownika i malarza pt. „Abecadło Topora”. Poza tym w Lokatorze zaprezentujemy także wybór „Miniatur Filmowych ze studia filmów animowanych w Poznaniu” oraz program „Młode kadry” przygotowany przez Kino Polska. W ramach OFAFY odbędą się także pokazy specjalne zagranicznych filmów animowanych, które gościły na polskich ekranach w mijającym roku. Projekcjom będą towarzyszyły spotkania z goszczącymi na festiwalu twórcami oraz forum dyskusyjne poświęcone kondycji polskiego filmu animowanego, współorganizowane przez Stowarzyszenie Filmowców Polskich.

OFAFA		OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL AUTORSKICH FILMÓW ANIMOWANYCH
KinoLokator „WN205” Kraków, ul. Zamyskiego 5B		
PROGRAM RAMOWY		
12.XI (wtorek)	godz. 13.30	Kartoteka prasowa
14.XI (czwartek)	godz. 16.30	Pokaz specjalny filmu „BET przyszedł Franek i Włodek” (Est. 2006) mł. Karol Janota, Sio Piekus, 15
	godz. 18.15	Uroczystość rozpoczęcia festiwalu i obejrzenie wybitnej projekcji graficznych i plastycznych Jerzego Kaliny i Mariana Choleka
	godz. 18.30	I pokaz konkursowy
	godz. 20.45	Plamospokreślenie filmu Jerzego Kucy (30) i spotkanie z twórcą
15.XI (niedziela)	godz. 12.00	I pokaz konkursowy
	godz. 14.30	Plamospokreślenie filmu Mariusza Głazyskiego (72) i spotkanie z twórcą
	godz. 16.30	II pokaz konkursowy
	godz. 18.30	IV pokaz konkursowy
	godz. 20.45	70-lecie urodzin Piotra Kamlera – pełna retrospektywa filmów – cz. I (38)
18.XI (sobota)	godz. 12.00	Pokaz specjalny filmu „Mariano Moreno” (Arg. 2002) mł. Juli Allen, 72
	godz. 13.30	Kartoteka prasowa oraz forum dyskusyjne „Wokół problemów polskiej animacji”
	godz. 15.30	Plamospokreślenie filmu Mariana Choleka (wybór rodzana) 70
	godz. 17.15	Spotkanie z twórcą
	godz. 19.00	70-lecie urodzin Piotra Kamlera – pełna retrospektywa filmów – cz. II (70) „Chronopolis”
	godz. 19.00	Uroczystość zakończenia festiwalu, wręczenie nagród i projekcja filmów nagrodzonych

W klubie LOKATOR czeka 10 podwójnych zaproszeń na OFAFĘ dla czytelników „Mrówkojada”!!!